

Miasto nie może być szpeczone
przez dowolne szyldy i reklamy

Jak zbójowano
w Bieszczadach

Chłopiec
od kolorowych ptaków

Helena
spod Bukowego Berda



3.00 zł (w tym 5% VAT) / NR 23 (759)

ISSN 1231-9333



Rok XXXII/10.11.2022 r.
ISSN 1231-9333 INDEKS 323659
Nakład 1000 egz.

GAZETA

BIESZCZADZKA

C Z A S O P I S M O R E G I O N A L N E

www.bieszczadzka24.pl

- Chodzi o to, by nigdy nie było wątpliwości, czy któryś z pracowników nakrzyczał na dziecko bądź zamknął je za karę w łazience – mówi burmistrz

Burza nad „starym” przedszkolem w Ustrzykach Dolnych

Władze miasta chcą w Przedszkolu nr 1 zamontować monitoring wizyjny z opcją audio. To skutek skarg kierowanych do burmistrza na poczynania niektórych osób z personelu placówki. Część radnych uważa, że taka obserwacja nosi znamiona inwigilacji.

Z wpisu burmistrza Bartosza Romowicza na Facebooku:

„ (...) Od 2014 roku, odkąd objąłem urząd, dostrzegam wyraźną różnicę w poziomie funkcjonowania obu przedszkoli w Ustrzykach Dolnych. (...) Kiedy w Przedszkolu nr 2 w dwa dni zapewniam się listy na półkolonie, to w Przedszkolu nr 1 trwa to zdecydowanie dłużej. Podobnie z rekrutacją podstawową. Przedszkole nr 1 jest drugim wyborem rodziców naszych dzieci.

W ostatnich kilkunastu miesiącach skargi rodziców na działalność placówki zwiększyły się wielokrotnie. Rodzice – prosząc o anonimowość – zgłaszają problemy (...), m.in. metody wychowawcze nauczycieli pochodzące z tzw. „czarnej pedagogiki”. Niegrzeczne dzieci w tym przedszkolu sadza się „na karne krzeselko”, wprowadza z sali, pozostawiając na korytarzu lub w innej sali. W ubiegłym roku szkolnym rodzice przenosili „problemowe” dzieci z Przedszkola nr 1 do nr 2, po czym okazywało się, że problemów w nowym przedszkolu nie było. Jako burmistrz, ale też jako rodzic, nie mogę zaakceptować takich sytuacji.

OBOWIĄZEK REAKCJI

Próbowaliśmy tę sytuację naprawiać z całym środowiskiem przedszkola – od dyrekcji, przez nauczycieli po pracowników obsługi. Zaproponowałem w ubiegłym roku montaż monitoringu w placówce z wykorzystaniem na potrzeby wyjaśnienia sytuacji kryzysowych. Niestety, spotkało się to ze sprzeciwem środowiska przedszkolnego.

Problem nigdy nie jest winą jednej osoby, a składa się z zachowań wielu osób. Nie jest to samodzielną winą ani dyrektora placówki, ani pracowników. Jeśli jednak tradycyjne metody, rozmowy i plany naprawcze nie przynoszą efektów, to czuję się w obowiązku zareagować. Tą reakcją był plan połączenia dwóch przedszkoli w Przedszkole Miejskie w Ustrzykach Dolnych.



Kamery mają być zamontowane we wszystkich pomieszczeniach przedszkola za wyjątkiem toalet FOT. KRZYSZTOF POTACZALA/PIXABAY

JAKIE KORZYŚCI WYNIKAJĄ Z POŁĄCZENIA?

- optymalizacja wykorzystania kadr obu przedszkoli poprzez bardziej elastyczny system zastępstw
- redukcja zatrudnienia poprzez naturalne odejścia na emerytury nauczycieli oraz świadczenia kompensacyjne (bez zwolnień w trybie nagłym!)
- jeden obwód przedszkolny dla całego miasta
- jedna rekrutacja do przedszkola
- jedna rekrutacja na półkolonie wakacyjne (dyżur wakacyjny).

Wszystko to z myślą o Państwa dzieciach, o naszych dzieciach.

Jesteśmy na etapie konsultacji projektu w Radzie Miejskiej i po tym etapie podejmiemy ostateczną decyzję. W trakcie konsultacji usłyszałem, że nikt z rodziców nie złożył oficjalnie skargi na działalność placówki. I według mnie nikt nigdy nie złożył w obawie o stygmatyzację swojego dziecka do czasu rozwiązania problemu. Ale z powodu braku takich skarg nie robienie niczego to oszukiwanie samych siebie. To zwyczajna hipokryzja.

Jeśli za decyzją radnych nie dojdzie do połączenia obu placówek i podniesienia poziomu wycho-

wawczego, to dołożę jeszcze większej staranności, aby doprowadzić sytuację w Przedszkolu nr 1 do normalności. Jestem otwarty na Państwa uwagi, gwarantując anonimowość. Nigdy więcej nie możemy pozwolić na stygmatyzację naszych dzieci”.

KAMERY SĄ NIEZBĘDNE

Pod wpisem burmistrza natychmiast rozgorzała dyskusja. Rodzice, dawni wychowankowie Przedszkola nr 1, pedagodzy i wszyscy, którzy zainteresowali się sprawą – spierali się o to, czy w placówce dzieje się dobrze, czy źle, kto może być temu winny i jakie wprowadzić zmiany, by w przyszłości było lepiej. Czasami dyskusja schodziła na inne tematy, by potem wrócić na właściwe tory. Nie zabrakło niekiedy złośliwości, pustostawia, „prywatnych wycieczek” pod adresem tego czy innego nauczyciela. Kiedy zamykaliśmy to wydanie Gazety, naliczyliśmy blisko dwieście osób, które zechciały wyrazić swoje zdanie pod postem wóldarza Ustrzyk.

Temat był też omawiany 4 listopada na sesji Rady Miasta. W debacie o Przedszkolu nr 1 – ściśle nad projektem uchwały czy zamontować kamery w budynku – wzięli udział radni, burmistrz

i dyrektorka placówki. Podobnie jak w przypadku innych tematów ważnych dla miasta, od początku iskrzyło między Bartoszem Romowiczem a radnymi opozycji. Burmistrz argumentował, że monitoring w przedszkolu przy ul. Pionierskiej jest niezbędny, w dodatku z opcją nagrywania głosu, a nie tylko obrazu. Jego zdaniem takie kamery powinny być w każdym pomieszczeniu oprócz toalet, jak również na zewnątrz budynku. Po to, by w razie kontrowersyjnych zdarzeń (a takowe miały mieć miejsce, na co skarżyli się burmistrzowi rodzice dzieci), nie było wątpliwości, co się wydarzyło i kto jest winny.

B. Romowicz: - To niedopuszczalne, żeby pracownik przedszkola zwracał się do dziecka ukraińskiego „ty rusku” albo za karę zamykał dziecko w łazience. Tak samo niedopuszczalne jest straszenie dziecka, że jeśli nie zje obiadu, to nie przyjdzie po nie mama. To są zachowania niegodne. Jako gospodarz miasta, ale też rodzic nie mogę dopuścić, by podobne sytuacje się powtórzyły. Dlatego zrobię wszystko, by monitoring objął całe Przedszkole nr 1.

KP, MPR
Więcej o sprawie na str. 2

PO CO W TRAWIE
PISZCZY

JAKUB DEMEL

Co zrobić z duszą?

Ostatni pogodny październikowy weekend i łączące się z nim równie słoneczne pierwsze dni listopada sprawiły, że Bieszczady w pełni wykorzystały swoją jesienną szansę. Nie zawiedli się ci, którzy przybyli tu po kolor, po rozświetlone niebo, po świetliste poranne mgły, dni, które w polskiej tradycji pełne są wyciszenia i zadumy, udało się im osadzić we wspaniałym krajobrazie przyrody.

Szczególnie w tych dniach twaga przybyszów, wędrowników śpiąca się na leśnych mogiłach, przydrzniętych krzyżach, osierconych – bo pozbawionych nieistniejących już tasi – kapliczek. Zapalają tam świeczki i idą dalej ścieżką wymoszczoną dywanem czerwonych liści. To są zwyczajne bieszczadzkie drogi, bieszczadzkie ścieżki. To są zwyczajne ludzkie, odpowiednie dla tego czasu zachowania. Tak zwyczajnie, że pozostawia się płomień, niekoniecznie o tym mówiąc.

Wieczorem, po zejściu z gór, w hotelach, pensjonatach, barach i kawiarniach toczą się – znów zwyczajnie, choć tym razem inne, rozmowy. „Polonina umarła” – weterani turystyki rozumieją, dokładniej mówić nie trzeba. Młodzi – wśród gwaru sali, słysząc słowa z sąsiedniego stolika – próbują się domyślić znaczenia tych słów. I trafiają w sedno. Chodzi o dwa schroniska na Poloninie Wetlińskiej. O stare, którego już nie ma, i o nowe posadowione w miejscu starego. Głosem po całodziennym wędrownictwie wyrażają zmęczonym toczy się spór o prawdę. Które ze schronisk jest prawdziwe? Czy prawdziwym może być obiekt, którego już nie ma? Czy to, które jest, może nie być prawdziwe? Wtę jest, czy go nie ma? A jeśli rzeczywistość jest, to czym jest? Trwa egzystencjalna debata o drewnianych chałupach – jednej i drugiej, czyli tej, która jest i tej, której nie ma.

Problem natomiast jest taki, że to „nowe” po to się różni od „starego”, żeby nie musiało „starego” udatować. A udaje, i jak się wchodzi w rozmowy weteranów, to właśnie udawanie boli najbardziej. Zmiany były tu zawsze, zawsze na lepsze, ale związane ze zmianami wysiłki oceniano na dwa sposoby. Pierwszy: zrobiliście kawał dobrej roboty, teraz chce się żyć, jest ciepło i przytulnie. I drugi: jak tu hulali wiatr i woda zamarała, to człowiek czuł, że żyje, warto było przeżywać, zepsuliście to wszystko. Ostatecznie drogą rozbiórki rozpracowano się z oboma punktami widzenia.

Bieszczadzki Park Narodowy choćby nie chciał i nawet nie zamierzał, to jednak faktycznie wziął na siebie nieuczynalne w wyobraźnym czasie zadanie przeszerpcu wielkiej duszy starej Chałki w regularnie ciśnie ramy. Trzeba czasu; w ciągu niewielu już lat przestaną chodzić po górach ci, dla których nowy obiekt jest tworem obcym i sztucznym. Twórcy stawianych ongiś nowych schronisk PITK: baczówek Jaworczek, Rawka, Hon, jak i ich pierwsi gospodarze nie mieli takich problemów. Debатовano o sensowności lokalizacji, o standardzie, o wykonawstwie i o niczym więcej. Nikt ich do nikogo i niczego nie porównywał. Nie było do czego. Na Poloninie jest inaczej, tu się nie da zacząć od zera.

- Wszystko musi być zrobione w zgodzie z prawem – podkreśla radny Arkadiusz Lupa

Kontrowersyjna obserwacja z opcją głosową

Na obradach sesji Rady Miasta 4 listopada burmistrz Bartosz Romowicz nie krył zdenerwowania, ale też troski o dobro dzieci. – Po licznych skargach na działalność przedszkola, a raczej części personelu, powiadomiłem kuratora oświaty i dyrektorkę placówki.

Niebawem będzie przeprowadzona kontrola. Jako organ prowadzący mam też prawo do zainstalowania kamer w obiekcie, którym zarządzam. I zrobię to jak najszybciej. Koszt 80 tysięcy złotych nie jest za wysoki, gdy chodzi o bezpieczeństwo dzieci.

Burmistrz przyznał, że kiedy przeczytał skargi rodziców, nie spał trzy noce, bo wyobraził sobie swoje dziecko, na które ktoś krzyczy lub zamyka je w łazience. – Jeśli rodzice piszą do mnie z pretensjami o złe prowadzone zajęcia i sposób zachowania części pracowników w stosunku do podopiecznych, to moim obowiązkiem jest zareagować. Monitoring da nam możliwość weryfikacji i wyjaśnienia spornych bądź niejasnych kwestii. Podjąłem decyzję, żeby kamerami objąć każdy metr kwadratowy przedszkola, poza toaletami. To musi być monitoring z możliwością rejestracji głosu.

CHOĆBYŚCIE RZUCALI SIEKIERAMI

Kamery są zainstalowane niemal we wszystkich placówkach oświatowych w gminie, a tam, gdzie ich jeszcze nie ma – najpewniej będą montowane. Najpierw jednak w „starym” przedszkolu przy ul. Pionierskiej, bo tam doszło do zdarzeń, które oburzyły rodziców.

Radny Czesław Urban zwrócił uwagę, że przepisy prawa zabraniają montażu systemów audio w szkołach czy przedszkolach i przytoczył konkretny



4 listopada 2022. Na sesji najdłużej dyskutowano o Przedszkolu nr 1. FOT. ANDRZEJ GÓRSKI

paragraf. – Jeśli wykreśli pan, panie burmistrzu, zapis o funkcji audio, to zagłosuję za monitoringiem.

– Nie wykreślę i powiem więcej. Choćby państwo radni rzucali we mnie siekierami, to się nie ugnę – odparł B. Romowicz. – Nawet gdybym działał na granicy prawa, instalując monitoring z opcją głosową, zrobię to z pełną świadomością, w stanie wyższej konieczności. Wolę mieć zarzuty prokuratorskie za przekroczenie uprawnień, niż za niedopełnienie obowiązku nadzoru w przypadku, kiedy jakimś dziecku stanie się krzywda.

Monitoring według burmistrza ma spełniać funkcję prewencyjną, żeby żaden nauczyciel czy inny pracownik nie ścisnął dziecka za rękę, nie zostawił samego na korytarzu bez opieki lub płaczącego w łazience. Tu muszę być radykalny, bo w głowie mi się nie mieszczą podobne zachowania.

NIE RÓBMY ZŁEGO WRAŻENIA

Głos zabrała też Beata Maciołek, dyrektorka Przedszkola nr 1. – Do-

szło kiedyś do sytuacji, kiedy byłam świadkiem nagannego zachowania pracownicy w stosunku do dziecka. Ta sytuacja została wyjaśniona i mam nadzieję, że się nie powtórzy. Ale nie jestem w stanie być przy każdym pracowniku i dziecku, żeby stwierdzić na bieżąco, czy wszystko jest w porządku. To niemożliwe. Pragnę dodać, że w kierowanym przeze mnie przedszkolu są mądrzy i przygotowani nauczyciele, dlatego nie wolno uogólniać i wszystkich wrzucać „do jednego worka”. Monitoring, w razie potrzeby, pozwoliłby na wyjaśnienie niejasnych spraw, na przykład po skardze rodzica. Czy tak było, czy też nie.

Radny Artur Bobrecki: – Z tego, co mówiła pani dyrektor, jakaś kłopotliwa sytuacja została zażegnana, a więc nie widzę podstaw, by kupować i montować sieć monitoringu z opcją rejestracji i obrazu, i dźwięku. Nie robmy wrażenia, że w tej placówce dzieją się totalnie złe rzeczy. Tak nie jest, a monitoring z dźwiękiem będzie nosił znamiona inwigilacji.

– Nie wierzę w to, co słyszę – odpowiedział burmistrz. – Zawsze trzy osoby spośród radnych sprzeciwiają się wszystkiemu, co proponuję. Rozumiem, że mnie nie lubią, rozumiem, że możemy się różnić politycznie, ale proszę, żeby chociaż w tej tak istotnej kwestii zagłosować za projektem uchwały.

ZIELONE ŚWIATŁO

Do dyskusji włączył się radny Arkadiusz Lupa. – Chciałbym zauważyć, że my tutaj prowadzimy dyskusję nad przyjęciem uchwały w sprawie kamer w przedszkolu, a nie nad oceną działalności placówki. Proponuję dać burmistrzowi zielone światło do działania, jednak z zastrzeżeniem, że taki monitoring musi być zamontowany i działać zgodnie z prawem, z uwzględnieniem przepisu, o którym mówił radny Czesław Urban.

Ostatecznie za przyjęciem projektu uchwały głosowało 12 radnych, 2 było przeciwnych.

KP, MPR

Prestiżowe stypendium za grę na skrzypcach



Emilka Linka na Zamku Królewskim w Warszawie

Emilia Linka z Ustrzyk Dolnych znalazła się w grupie najzdolniejszych uczniów szkół artystycznych w kraju. Otrzymała stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Nagrody wręczono pod koniec października na Zamku Królewskim w Warszawie. Młoda ustrzycka skrzypaczka jest jedną z dwóch osób wyróżnionych i pochodzących z województwa podkarpackiego. Stypendium zostało przyznane za wybitne osiągnięcia artystyczne w roku 2021/2022.

Emilia jest uczennicą Państwowej Szkoły Muzycznej im. Wandy Kossakowej w Sanoku, Szkoły Podstawowej nr 1 im. Mikołaja Kopernika w Ustrzykach Dolnych oraz Samorządowej Szkoły Muzycznej w Ustrzykach Dolnych. Ma na koncie już wiele sukcesów, ale kariera dopiero przed nią. – Ona systematycznie idzie w górę, jest bardzo pracowita – chwalił pedagoga. – To dzięki wyłożonej pracy co roku zdobywa ogólnopolskie i międzynarodowe laury w konkursach skrzypcowych.

MPR



SAMORZĄD

Biblioteka ma już 70 lat

Biblioteka w Ustrzykach Dolnych ma już 70 lat. Jest jednym z centrów oświatowych i edukacyjnych miasta. Podczas uroczystości jubileuszowych podsumowano minione lata, rozmawiano też o przyszłości.

Mszę świętą w intencji byłych i obecnych pracowników, także tych zmarłych, odprawił ks. Józef Bieniek, proboszcz parafii NMP Królowej Polski. W kazaniu podkreślił rolę bibliotek w kształtowaniu właściwych postaw i wartości.

Już w siedzibie Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. prof. Eugeniusza Wanieka (przedwojennego mieszkańca Ustrzyk Dolnych, wykładowcy Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie) rozmawiano o obecnej kondycji bibliotek w Polsce i popularyzacji czytelnictwa. Wspomniano też dawnych pracowników ustrzyckiej biblioteki i najważniejsze wydarzenia.

Michał Wnuk, zastępca burmistrza Ustrzyk Dolnych, podziękował za dotychczasową i dostępną pracę na rzecz rozwoju i promocji czytelnictwa, zwłaszcza słowa drukowanego, które jest zagrożone poprzez świat Internetu. Życzył dyrektorowi i pracownikom wytrwałości i niezrażania się, zwłaszcza wtedy, gdy frekwencja

na organizowanych imprezach nie jest imponująca. Podkreślił, że warto je organizować, bo i takie spotkania mają swoją publiczność.

Wojciech Domiszewski, dyrektor PiMBP, nawiązał do działalności placówki w kontekście pracy poprzednich kierowników i dyrektorów oraz bibliotekarzy. Zwrócił uwagę, że podmiotem działania bibliotek jest czytelnik, nazywany dzisiaj użytkownikiem, który w bibliotece ma się czuć dobrze. Jak podkreślił, ma temu służyć praca miejscowych bibliotekarzy, odpowiednio przygotowanych do wyzwań współczesnego świata i społecznych oczekiwań.

Historię 70-lecia PiMBP zaprezentowano w filmiku pt. „Tak to było. Tak to jest, czyli od przeszłości do teraźniejszości” (dzieje placówki napisano także w formie broszury pt. „Tak było, tak jest - historia ustrzyckiej biblioteki”). W części artystycznej wystąpili uczniowie i nauczyciele Samorządowej Szkoły Muzycznej I stopnia. Podczas koncertu zagraли: Oliwia Szyler wraz z nauczycielem gry na skrzypcach Dobrosławą Siudmak (skrzypce), Jan Walasek (akordeon), Hanna Brukała (piano), Zofia Banach (skrzypce), Eliza Wojnar (piano), Julia Steciuk (altówka) i Seweryn Werner (wiolonczela). **MPR**

Żeby było nowocześniej

Gmina Lutowska w 2022 roku po raz kolejny przystąpiła do Podkarpackiego Programu Odnowy Wsi na lata 2021-2025. Program wspiera działania Sołeckich Strategii Rozwoju Wsi w procesie ich odnowy.

Zasadniczym jego celem jest dostarczenie mieszkańcom podkarpackich obszarów wiejskich instrumentów, w ramach których możliwa staje się integracja i aktywizacja społeczności wiejskiej. Z inicjatywy sołtysa Chmiela Romana Mastyla oraz mieszkańców, sołectwo w 2021 roku przystąpiło do Podkarpackiego Programu Odnowy Wsi. Opracowano Sołecką Strategię Rozwoju na lata 2021-2025; przedstawiono swoją wizję oraz plan najważniejszych działań.

Tubylcy w perspektywie czasu widzą Chmiel jako wieś nowoczesną, typowo turystyczną, bezpieczną i wygodną, o wysokorozwiniętej infrastrukturze technicznej; taką, która wdraża innowacyjne rozwiązania w obszarze gospodarczym, ma dogodne warunki do rekreacji i zdrowego stylu życia oraz nowoczesną i zintegrowaną społeczność dbającą o rozwój kultury i tradycji regionu. Wśród najważniejszych działań wskazano na konieczność wykonania instalacji grzewczej w remizo-świetlicy, która jest centrum spotkań i integracji mieszkańców.

W ramach projektu pn.: „Wykonanie ekologicznej instalacji grzewczej w budynku remizo-świetlicy w Chmielu wraz z dociepleniem stropu” (realizowanego z pomocą funduszy z budżetu Województwa Podkarpackiego w ramach Podkarpackiego Programu Odnowy Wsi na lata 2021-



Mieszkańcy Chmiela przed remizo-świetlicą
FOT. ARCHIWUM GOK W LUTOWISKACH

2025 oraz środków Gminy Lutowska – Funduszy Sołeckiej) samorząd Lutowski wykonał w remizo-świetlicy w Chmielu elektryczną instalację grzewczą.

Dzięki zaangażowaniu społecznej partnerów projektu: sołtysa Romana Mastyla, mieszkańców, Ochotniczej Straży Pożarnej w Chmielu oraz Gminnego Ośrodka Kultury im. Jerzego Janickiego w Lutowskich, został docieplony strop budynku, kupiono wyposażenie do świetlicy (gry i zabawy) oraz pomalowano zewnętrzną podbitkę obiektu. – W ramach przyszłorocznej edycji Programu będziemy starać się o dofinansowanie cyklicznej imprezy „Bieszczadzkie Święto Chmielu” oraz zakupu infrastruktury i wyposażenia do organizacji imprez plenerowych” – zapowiada Roman Mastyla.

Podziękowania należą się wszystkim zaangażowanym w realizację projektu: Krzysztofowi Mrozowi – wójtowi Gminy Lutowska, Romanowi Mastyle – sołtysowi Chmiela, Ochotniczej Straży Pożarnej w Chmielu, Gminnemu Ośrodkowi Kultury w Lutowskich oraz mieszkańcom Chmiela, którzy bezinteresownie brali udział w inicjatywie. **MPR**

Udany sezon wakacyjny

Gmina Ustrzyki Dolne podsumowała sezon wydarzeń kulturalnych, społecznych i sportowych. Przyszły rok ma być pod tym względem jeszcze bogatszy.

Wiosną, latem, jak i jesienią każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Okazy do przybliżenia rodzimej tradycji, kultury i kuchni, zaprezentowania sportowych i artystycznych umiejętności, a także zdolności naszych mieszkańców było mnóstwo. – Jako burmistrz Ustrzyk Dolnych jestem zawsze otwarty na inicjatywy, które jednoczą lokalną społeczność. To one pokazują, że jesteśmy wspólnotą. Udowadniają, jak wiele w nas talentów, umiejętności i pasji, zachęcają turystów do odwiedzin – podkreśla Bartosz Romowicz.

TEATR, FILM, FESTYWN

Wiosna rozkwitła wraz z Jarmarkiem Wielkanocnym, podczas którego mogliśmy podziwiać wyjątkowe produkty rękodzielnicze, wytworzone przez lokalnych artystów i rzemieślników, a także spróbować tradycyjnych przysmaków bieszczadzkiej kuchni. Zaraz potem obchodziliśmy rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 Maja, które była dla nas kolejną ważną lekcją historii.

W cyklu wydarzeń kulturalnych, powiązanych często z ważnymi datami w kalendarzu, wpisały się też koncerty z okazji Dnia Mamy, Bieszczadzkie Spotkania Teatrów Szkolnych pod hasłem „Ustrzycka Teatromania”, Festywny Szkolny „Dwójki”, projekcje kinowe w ramach Podkarpackiego Szlaku Filmowego, a także I Ustrzyckie Lato z Książką Regionalną, będące doskonałą okazją do zapoznania się z autorską twórczością bieszczadzskich pisarzy i poetów. Dożyłny w Wójtkowej były z kolei świętem dziękczynnym za tegoroczne plony. Pamiętaliśmy również o najmłodszych – w Dniu Dziecka Park Pod Dębami tętnił kolorami, dobrą zabawą i szczerą dziecięcą radością.

POD ZNAKIEM MUZYKI

Latem było też mocno muzycznie. Razem bawiliśmy się w trakcie koncertów, w których wystąpili dla nas m.in.: Video, Megustar, Wołosatki, Kompanija, Fantazja, Echo Ustrzyk, Oratyk, Watra, Urszula Kryger, Maciej Szastewski, Lisy Parchate, Light of Freedom, Effect, Czaderski Band i Bazyliak. Na ustrzyckim rynku podziwialiśmy wokalne i muzyczne zdolności artystów podczas Konkursu Piosenki Turystycznej o Złotą Nutkę Korony Ustrzyckich Gór. Za sprawą Ustrzyckiego Festiwalu Rockowego nie zabra-



FOT. ANDRZEJ GÓRSKI

kło również mocnych brzmień – tych dostarczyły nam zespoły Chłopcy z Placu Broni oraz KSU. Pojawiły się ponadto bardziej stonowane klimaty, które wybrzmiały podczas koncertu pieśni religijnych „Ekumena” w cerkwi pw. Zaśnięcia Najświętszej Maryi Panny. Bardzo ważnym wydarzeniem muzycznym, podkreślającym trudny czas dla naszych sąsiadów ze wschodu, był z kolei koncert stworzony właśnie przez artystów z Ukrainy.

TANIEC, ŚPIEW, FOTOGRAFIA

A skoro muzyka, to i... taniec! Okazja do tej aktywności, dla wszystkich pokoleń, znalazła się nie tylko podczas wymienionych koncertów. Seniorzy mieli możliwość poczuć drugą młodość dzięki specjalnie zorganizowanym potańcówkom. Dodatkowo dumę naszemu regionowi przyniósł po raz kolejny ustrzycki Zespół Tańca Ludowego „Bandanki”. Wraz z Narodowym Zespołem Pieśni i Tańca Huculijska z Ukrainy, „Bandanki” zorganizowały taneczne warsztaty. Nasze zmysły mogły też zostać zaszarowane przez Magika Markusa, który przedstawił nam zaskakujący pokaz iluzji.

Do największych wydarzeń można z kolei zaliczyć Dni Gminy Ustrzyki Dolne połączone ze Zjazdem Miast Partnerskich i Tygodniem Elektromobilności. Impreza trwała tydzień, a w jej czasie dostępnych było kilkadziesiąt atrakcji w piętnastu lokalizacjach. Za cel postawiliśmy sobie połączenie tradycji z nowoczesnością. Gotowaliśmy, uczyliśmy się rękodzieła, dowiedzieliśmy się jak dbać o swoje zdrowie, wspólnie uprawialiśmy sport, tańczyliśmy i śpiewaliśmy, a także poznawaliśmy historię Bieszczadów, ich tradycję i kulturę. W nowoczesnym tonie połączyły się między innymi warsztaty fotograficzne, gra terenowa, warsztaty z robotyki.

SPORTOWE ZMAGANIA

Tradycyjnie sezon obfitował w pikniki, turnieje i eventy sportowe, promujące zdrowy tryb życia i kulturę fizyczną. Wśród dyscyplin, które w ostatnich miesiącach szczególnie upodobały sobie nasze rodzime talenty, prym wiodły piłka nożna, siatkówka, koszykówka, biegi przełajowe, tenis stołowy, pływanie i kolarstwo. Pojawiły się również zyskujące coraz większą popularność szachy i warcaby stupolowe. W tej drugiej dyscyplinie w Ustrzykach Dolnych odbyły się nawet mistrzostwa Polski. Wydarzeniem międzynarodowego formatu był z kolei 79. wyścig kolarski Tour de Pologne, który w sierpniu przejechał przez teren gminy. Było także coś dla fanów sportów motorowych – w sierpniu na rynku wielu widzów obejrzało pokaz trialu motocyklowego 9-krotnego mistrza Polski, Gabriela Marciniowa.

SMAKI REGIONU I ŚWIATA

Wiemy, jak ważną gałęzią lokalnej gospodarki jest turystyka. Na jej rozwój stawiamy także my, dlatego lato obfitowało w wydarzenia promujące nasz region. Najważniejszym z nich był XX Karpacki Jarmark Turystyczny. W gminie Ustrzyki Dolne zorganizowano ponadto kiermasze turystyczne.

Tym, co turyści doceniają w Bieszczadach, a mieszkańcy kochają i znają od dziecka, jest też lokalna kuchnia. Regionalne przysmaki towarzyszyły nam podczas wielu imprez. Jednym z wydarzeń szczególnie poświęconym kulinarnym tradycjom było XX Święto Chleba. Dzięki niemu mogliśmy nie tylko spróbować świeżych wypieków, ale też zobaczyć proces produkcji i czynnie w nim uczestniczyć. Mieliśmy również okazję spróbować kuchni z całego świata, choćby w trakcie zlotów Food Trucków i Żarciowozów.

Źródło: Urząd Miejski w Ustrzykach Dolnych

Miliony na przebudowę basenu

Ponad 3 mln zł pochłonie przebudowa i unowocześnienie kompleksu basenów „Delfin” w Ustrzykach Dolnych.

Głównie zaplanowane zmiany to powiększenie hali basenowej o strefę SPA (od strony kortów), gdzie ekipa zbuduje nowy basen rekreacyjny wraz z atrakcjami (m.in. gejerami,

leżankami z masażami oraz jacuzzi). Przebudowane zostaną szatnie i korytarze, powstaną też nowe wejście do pływalni.

Po modernizacji możliwe będzie wejście na cały obiekt (baseny wewnętrzne i zewnętrzne). To klient zdecyduje, z których stref chce korzystać. W razie załamania pogody nikt nie będzie musiał wracać do

domu, tylko automatycznie zyska możliwość rekreacji na basenie wewnętrznym. – Dodatkowo zmodernizujemy wentylację mechaniczną w całej hali basenowej oraz wymienimy dach, który po ponad dwudziestu latach uległ zużyciu – mówi burmistrz Bartosz Romowicz. – Oczywiście do rozbudowy potrzebujemy wkładu własnego, dlatego teraz naszą rolę i zadaniem będzie znalezienie tych pieniędzy.

MPR

Uporządkowali mogiły, naprawili ogrodzenia, oddali cześć zmarłym

Pamięć ukryta w lasach i wysiedlonych wsiach

Jak co roku przed uroczystością Wszystkich Świętych w lasach porządkowano cmentarze i pojedyncze mogiły. Są częścią naszego dziedzictwa kulturowego.

Pierwsza wojna pochłonięta w Karpatach setki tysięcy ofiar. Tylko w lasach Nadleśnictwa Komańcza znajduje się 17 cmentarzy z tego okresu, część z nich dopiero niedawno zidentyfikowano i oznaczono krzyżami. W ubiegłym roku utworzono cmentarz wojenny na górze Maniowa w Nadleśnictwie Baligród, gdzie podczas I wojny światowej zginęły setki żołnierzy walczących armii, pochowanych w zbiorowych mogiłach, często płytko kopanych z uwagi na ciężką wówczas zimę. Obszar cmentarza obejmuje kilka arów wzgórz; w tym roku pojawiły się kolejne groby, w których złożono szczątki ekshumowanych ofiar wojny.

NIE O WSZYSTKICH WIADOMO

Leśnicy z Podkarpacia od kilku lat wprowadzili zwyczaj, że na leśne cmentarze nie nosi się sztucznych kwiatów i nie pali zniczy. Na takich grobach umieszczana jest tylko gałązka jedliny z ulegającą biodegradacji wstążką z napisem „Pamiętamy”. – Warto upowszechnić takie mniej inwazyjne dowody pamięci, eliminować zwłaszcza sztuczne kwiaty i zaśmiecające las znicze – mówi Marek Marecki, dyrektor RDLP w Krośnie

Na jej terenie znajdują się 53 cmentarze wojenne z obu wojen światowych, 4 rzymskokatolickie, 27 obrządku wschodniego, 4 kirkuty, 15 cmentarzy choleńskich, 96 mogił zbiorowych i pojedynczych. Miejsca dawnych pochówków znaczą też często kapliczki leśne, których naliczono 222, jak również 246 krzyży pokutnych lub wotywnych. Zapewne wiele grobów wciąż pozostaje niezidentyfikowanych i zapomnianych.

ULUBIONY CEL OPARYSKÓW

Nadleśnictwo Brzozów wspólnie z Polskim Towarzystwem Leśnym przygotowało w tym roku gałązki pamięci, które zostały umieszczone na grobach 21 leśników, położonych na 12 cmentarzach w zasięgu działania nadleśnictwa. Są to groby byłych pracowników terenowych i biurowych Nadleśnictwa Brzozów i Sanok, ale również pracowników innych nadleśnictw oraz Instytutu Badawczego Leśnictwa w Warszawie, pochowanych na tym terenie. Spoczywają w nich także leśnicy walczący za Ojczyznę w okresie Powstania Styczniowego i II wojny światowej.

W tym roku nadleśnictwo wyremontowało również drogę prowadzącą do starego cmentarza żydowskiego w Brzozowie-Zdroju i do miejsca straceń Żydów w 1942 roku w brzozowskim lesie.

Na terenie Nadleśnictwa Dukla w tym roku miejscowy samorząd odnowił mogiły Żydów pomordowanych w lesie „Błudna” w leśnictwie Barwinek. Z kolei Stowarzyszenie Teodorówka Razem, we współpracy z nadleśnictwem, zrealizo-



Porządkowanie mogił na wzgórzu Gruska koto Leska, gdzie podczas okupacji Niemcy przeprowadzali egzekucje polskich cywilów i mundurowych

FOT. ARCHIWUM RDLP W KROŚNIE

wało projekt odnowienia miejsca pamięci - cmentarza cholerycznego położonego w leśnictwie Franków we wsi Teodorówka. Przygotowano tablice informacyjne, oznakowano dojście drogowskazami na słupkach, odświeżono zarys mogiły - kurhanu. Spoczywają tam zmarli podczas epidemii w 1848 roku. Kurhan otaczają dorodne dągle. Leśnicy oczyścili też i uporządkowali otoczenie tzw. „Grobu Żołnierza” - miejsca, w którym zginął i był pochowany we wrześniu 1939 roku żołnierz Wojska Polskiego (w kompleksie leśnym Popardy w Leśnictwie Cergowa). W roku 2019 z inicjatywy Regionalnego Towarzystwa Historycznego w Równem zostały przeprowadzone prace renowacyjne mogiły.

SYMBOLICZNE ZNICZE I JEDLINA

W Nadleśnictwie Ustrzyki Dolne leśnicy objęli pracami porządkowymi mogiły znajdujące się na terenie leśnictw Stefkowa, Wańkowa i Zawadka. Ponadto przygotowano symboliczne znicze opatrzone gałązką jodłową i wstęgą pamięci, które zapłonęły na 74 grobach zmarłych pracowników nadleśnictwa oraz tych, którzy pracowali na rzecz Lasów Państwowych.

Podobnie jak w latach poprzednich członkowie koła Polskiego Towarzystwa Leśnego, działającego przy Nadleśnictwie Komańcza, pamiętali o nieżyjących leśnikach pracujących niegdyś w tutejszych lasach. Przygotowali 40 wianek, zostały one rozwieszone na groby na 12 cmentarzach w zasięgu działania nadleśnictwa. Przeprowadzili też akcję porządkowania leśnych cmentarzy wojennych, których w lasach nadleśnictwa jest ponad 10. Warto zaznaczyć, że z 40 grobów 4 to groby leśników pracujących na tym terenie przed wojną, a w 6 spoczywają leśnicy- kombatanci, którzy walczyli za Ojczyznę w czasie II wojny światowej.

Pracownicy Nadleśnictwa Lesko tradycyjnie uporządkowali zbiorowe mogiły i miejsca straceń z czasów wojennych. Usunięto wypalone znicze, liście oraz śmieci z tychże miejsc. Złożono gałązki pamięci.

ZOSTAŁY GROBY

W Nadleśnictwie Cisna uporządkowano cmentarze przy dawnych cerkwiach w leśnictwach: Habkowce, Solinka, Jaworzec i Zawój. Wykoszono trawę i chwasty, posprzątno i wywieziono śmieci oraz naprawiono uszkodzone ogrodzenia. Przygotowano 35 pamiątkowych gałązek z jedliny z przewianą okolicznością wstążką, które zostały rozwieszone na groby leśników na trzech cmentarzach w Cisnej, Wetlinie i Baligródzie oraz na cztery cerkwiska.

Pracownicy Nadleśnictwa Lutowska w tym roku odwiedzili siedem cmentarzy, na których spoczywają leśnicy i pracownicy leśni. Pod swoją opieką nadleśnictwo ma również dwa cmentarze położone w nieistniejących już wsiach Hulskie i Tworylne. Cmentarze te zostały ogrodzone i są wykazane dwa razy w roku. Leśnicy z Lutowskiej opiekują się również mogiłami żołnierzy poległych w krwawych walkach podczas I wojny światowej na stokach Dwernika-Kamienia oraz Otrytu. Jakis czas temu w leśnictwie Tworylce odkryto ludzkie kości. Jak się okazało, była to zbiorowa mogiła żołnierzy, którzy również walczyli w I wojnie światowej. W tym miejscu ustawiono pamiątkowy krzyż.

Jak co roku leśnicy pamiętali też o grobach m.in. w Stuposianach (stary cmentarz greckokatolicki), Muczmem-Brenzbergu (mogiła pomordowanych przez UPĄ), czy Bukowcu nad Sanem (groby z pierwszej wojny światowej).

EdM, MP

Apel do turystów

Bieszczadzki Park Narodowy wystosował apel do turystów w sprawie schronu na Płoninie Wetlińskiej,

„Schron turystyczny służy zapewnieniu bezpieczeństwa i odpoczynku w czasie wędrowek, jednak jego pojemność jest ograniczona i musicie liczyć się z tłokiem wewnątrz obiektu. Dla Waszej wygody na terenie wokół budynku powstały ławy, na których również można odpocząć. Ze względu na toalety wykorzystujące wodę deszczową, ich użycie również jest ograniczone, uzależnione od opadów i natężenia ruchu turystycznego. Oszczędzajcie wodę, bo kolejna dostawa zależna jest głównie od aury. Jeśli toalety w budynku są nieczynne, korzystajcie z zewnętrznych toalet typu Toi Toi. Toalety są zlokalizowane poniżej Chatki i będą dostępne tak długo, jak będziemy w stanie wywozić z nich nieczystości. Na przebiegu dawnego szlaku żółtego z Przełęcz Wyżnej trwa obecnie remont, otoczenie drogi jest przywracane do stanu naturalnego, a sama nawierzchnia wygładzana, co spowoduje jej dostosowanie dla starszych turystów, rodzin z małymi dziećmi oraz osób niepełnosprawnych. Bądźcie cierpliwi i pozwólcie nam działać. Staramy się doprowadzić obiekt do pełnej sprawności, unaocznic jego historię i umożliwić noclegi spóźnionym turystom. Póki co, docenimy, że mamy gdzie się schronić i ogrzać podczas jesiennych wędrowek”.

MPR

Muzyka nad Strwiążem

Festiwal „ZEW się budzi” od przyszłego roku zagości w Ustrzykach Dolnych. Do tej pory był organizowany w Cisnej.

Impreza po raz pierwszy odbyła się w 2018 roku w Lesku. Później przeniesiono ją do Cisnej, a teraz czas na Ustrzyki. „Tym razem obudzimy się z przepięknym widokiem na miasto i góry. Bieszczady postanowiliśmy poznać jeszcze bliżej i tak ZEW powędrował w nowe, cudowne miejsce” – piszą organizatorzy.

Najbliższa edycja koncertów zaplanowana jest od 29 kwietnia do 1 maja 2023 roku na ustrzyckim stadionie (płyta boczna). Nie jest jeszcze znany program, ale można być pewnym, że nad Strwiążem zjadą gwiazdy muzyki popularnej i rockowej.

MP

Bilety już dostępne na udk.systembiletowy.pl

TEDI I SZMARAGDOWA TABLICA

18, 19, 20 LISTOPADA
GODZ. 17:00 | BILET: 18 ZŁ

Animacja | Prod. Hisz | wiek +6 | Czas: 1 godz. 30 min

Reklama
w Gazecie Bieszczadzkiej
tel. 13 461 13 22

HISTORIA

MATEUSZ PODKUL

Janosik... Któż nie kojarzy postaci tego zbójnika, co prawda – wbrew znanemu serialowi, który go spopularyzował – nie polskiego, a słowackiego. Także Bieszczady i dawne pogranicze polsko-węgierskie od stuleci dawały schronienie różnej maści rabusiom, totrzykom, hultajom i opryszkom.

Las, góry i słabe zaludnienie przyciągały beskidników i tothajów, którzy przy szlakach handlowych czyhali na kupców pokonujących karpacie przełęcze. Możliwość ucieczki z jednego kraju do drugiego przed stróżami prawa stała się magnesem przyciągającym tutaj rozbójników. Jednak wbrew romantycznym legendom niekoniecznie oddającym biednym to, co zrabowali bogatym.

Można pokusić się o stwierdzenie, że Bieszczady to kraina stworzona do zbójowania, nie tylko przed wiekami, ale i w XX wieku. Po II wojnie światowej region przyciągał różne osoby będące na bakier z prawem, za sprawą czego przypisano mu określenie „polskiego Dzikiego Zachodu”.

RODEM Z WĘGIER

Pierwsze wzmianki o zbójowaniu w tej części Karpat pojawiają się w źródłach w XV wieku (w latach 1434 i 1452), kiedy kraina ta pozostała jeszcze niemal niezaludniona, ale stanowiła już doskonałą ostoję dla ludzi uchodzących przed sprawiedliwością Temidy. Rozwój zbójczego fachu nastąpił w XVII w., wraz z pojawieniem się tu miast, wiosek, dworów i handlu. Korzyść rabusiom przynosiły także liczne wojny przewalające się przez Rzeczypospolitą. Od połowy XVI wieku aż do pierwszego rozbioru Polski, a wyżej w górach nawet do połowy XIX wieku, zbójnicy byli plagą.

Niezrównanie opisuje ten okres Władysław Łoziński w dziele „Prawem i lewem”. Przybliżając obyczaje w dawnym województwie ruskim, bez ogródek stwierdza, że „na Rusi choćbyś jezuity posiał, to przecież złodzieje się urodzą”.

Ten znakomity gawędziarz dalej donosi, skąd wywodzili się zbroje grasujący po polskiej stronie Bieszczadów: „Ziemia sanocka i przemyska, a pierwszym rzędzie ekonomia samborska były widownią gęstych rozbójów i łupieżczych napadów na dwory i sioła. Czym byli dla ziemi halickiej bukowinicy i moldawscy watahowie, tym dla ziemi sanockiej i samborskiej byli beskidnicy i spisznicy, górale nadgraniczne, węgiersko-polskiego pasma. Osobliwe okolice Homonny [ob. Humennego] (...) bywały stałym siedliskiem opryszków, którzy stąd wyprawiali się do Polski”.

Potwierdza to przewodnik beskidzki i znawca tematu Robert Bańkosz: – Okolice Humennego, jak i większość ówczesnych Węgier, tak będącego pod tureckim zwierzchnictwem Siedmiogrodu jak i północno-zachodniej części opowanej przez Habsburgów, obfitowały w liczne bandy zbójnicze i rabenriterskie, być może nawet liczniejsze niż w Rzeczypospolitej. Zbójów rodem z południowych stoków Karpat nazywano tothajami.

ULUBIONY CEL ZBÓJNIKÓW

Taka drewniana rzeźba tothaja w klatce z naturalnie wygiętymi prętami stoi w centralnej części Orelca. Dlaczego akurat tutaj? Otóż w 1636 roku mieszała banda polsko-węgierska złożona z poddanych Jana Drugetha z Humennego i okolicznych beskidników, napadła na orelecki dwór. Zaatakowani pochwycili jednego z napastników. Miejscowy przekaz podaje, że – gdy ujęty zbójnik ze skradną spójrział w stronę cerkwi – dokonał się cud. Kute, żelazne kraty wygięły się, dając mu

*Ukryte w głębokich
dolinach śródgór-
skich wsie rządziły
się swoimi prawami.
Do niektórych
z nich przylgnęła
łatka „zbójniczych”.
Na przykład
do Wołosatego.*

Zbójnik karpacki

FOT. RYCINA Z POCZĄTKU XVIII W./DOMENA PUBLICZNA



Jak zbójowano w Bieszczadach

wolność. Widząc jego przemianę miejscowi chłopcy przyjęli go za swego.

Inna z legend mówi, iż tothaje upodobał sobie Orelca, gdyż mieszkali tu najpiękniejsze panny w okolicy. Zbójnicy brali je w niewolę, aż wreszcie mieszkańcy wsi mieli tego dość i przygotowali na zbójów zasadzkę. W czasie walki jeden z tothajów wpadł w ich ręce. Gdy jego kompani uciekli, zbójnika osadzono w żelaznej klatce i wystawiono na publiczne pośmiewisko. Skruszyło to serce jego niedosłej branki. Jej miłość tak odmieniła zbójnika, że wyznał skrucę. Tothaj poślubił mieszkankę Orelca, a jego potomkowie do dzisiaj mieszkają w tej wsi, żyjąc już jednak cnotliwie.

Pomysł ustawienia rzeźby w Orlcu wyszedł od Janusza Demkowicza, znanego miejscowego społecznika i przedsiębiorcy w branży turystycznej. Nazwę „Tothaje” nosi także zespół, w którym Janusz gra.

FACH DLA WSZYSTKICH

Zbójnicy wywodzili się w przeważającej części z ludności wiejskiej: kmieci, rzemieślników, chałupników, komorników, parobków, ale też sołtysów, mieszczan i drobnej zubożałej szlachty. Nadto zbójnictwem trudnili się ludzie szukający przygód, pasterze wołoscy przywykli do

swobodnego życia w górach czy też ludzie ściągani przez prawo za przeróżne czyny.

To, że zbójce rekrutowali się z różnych warstw społecznych i spośród wielu zawodów, potwierdza Łoziński, który wymienia wśród słynnych hersztów popa z Bystry i chłopca Łapszuna, rabujących ze swoimi kompaniami bieszczadzkie wsie. Ten drugi kilkakrotnie miał rabować dwór Kazimierza Turskiego w Dzwiniaczu Górnym, gdzie spodziewał się zdobyć obfity łup.

„Pierwszy raz beskidnicy torturowali pod nieobecność męża Turską, chcąc z niej wydrzeć zeznania, gdzie mąż ukrył złoto, gotówkę i klejnoty, a nie znalazłszy tyle, ile się znaleźć spodziewali, porabiali wszystkie sprzęty, wypróżnili spichlerz, a zboże wysypali do rzeki, zrabowali i spalili kościółek. Pomagali im w tej robocie, która całych sześć godzin trwała także poddani Turskiego, chłopcy z Zwiniacza, którzy potem wraz z bandą zbójczą uszli do Węgier. Odparci za drugim razem, wracając po raz trzeci, dwór równają z ziemią, 20 zagród chłopskich puszczają z dymem i zabierają około 100 szt. bydła” – czytamy w „Prawem i lewem”.

Zdarzało się i tak, że bandy opryszków tworzyli mieszkańcy północnych stoków Karpat. Często przywoływana jest historia z 1614 roku, kiedy to książę (czyli sołtys) Smereka Petro zor-

ganizował bandę złożoną z 98 tothajów, z którą napadł na własną wieś i miejscowy dwór, niszcząc je prawie doszczętnie. Kilku mieszkańców zginęło, a wielu było rannych. Szereg podobnych historii można odnaleźć w „Regestrze złooczyńców grodu sanockiego 1554-1638”.

NAJLEPSI Z NAJLEPSZYCH

Rabowano nie tylko wsie leżące w najwyższych partiach Bieszczadów, ale też sioła niewiele oddalone od Ustrzyk Dolnych. Przykładem tu inna historia, którą można poznać za sprawą lektury „Prawem i lewem”. „Podobnego losu [jak Turski – przyp. MP] doznał Andrzej Dębicki. Beskidnicy wtargnąwszy z Węgier (...) zapadli w lasach, nocą otoczyli dwór Dębickiego w Stańkowej, wdarli się do środka, zabili bawiącego w Stańkowej młodego Stanisława Skarbka i dwóch ze służby samego Dębickiego, który zatwarzył się [czyli zamknął się – przyp. MP] w alkerzu i broń się męźnie, szturmem wzięli i srode porabiali. Tym razem chodziło opryszkom o uwolnienie kilku towarzyszy swoich, których Dębicki pojmał był i uwięził u siebie”.

Bez wątplenia najbardziej znanymi zbójnikami w okolicy byli bracia Dobosz – Iwan i Oleksa. Pierwszy „operował” w Bieszczadach, drugi – w Czarnohorze. Śladem po Iwanie Doboszu utrwalałom w ustnych przekazach jest historia o jego nożu znajdującym się w cerkwi w Beniowej. Watażka miał złożyć go w świątyni jako wotum. Niestety owa cerkiew dzisiaj nie istnieje, po nożu także nie pozostał ślad.

Czyni braci opiewają liczne legendy, a w kilku miejscach w Bieszczadach można odnaleźć w nazewnictwie odniesienie do nich. Na zachodnim skraju pasma Otrytu znajduje się Skała Dobosza z nieczytelnymi inskrypcjami, być może określającymi lokalizację ukrytych skarbów. Podobne miano nosi sporych rozmiarów głaz tuż przy granicy polsko-ukraińskiej, na zachód od szczytu Opolonek. Według opowieści herszt miał tu schować zdobyczne łupy. Do jaskini można wejść tylko podczas najkrótszej nocy w roku. Jak dotąd żadnemu śmiółkowi jeszcze się to nie udało.

Zapewne nie są to jedyne miejsca, które przed wiekami upodobał sobie rozbójnicy, a miejscowa ludność wokół nich osnuła wiele legend. Wedle jednej z nich, na szczycie Dwernika-Kamienia istniały dawniej tajnie, gdzie łotrzykowie trzymali zrabowane konie i bydło.

Postać zbója Ugarka związanego z zagórskim klasztorem karmelitów bosych przywołuje Oskar Kolberg. Słynny etnograf w swych peregrynacjach po ziemi sanockiej i ustrzyckiej dotarł także do Leszczowatego, gdzie zapoznał się z legendą o pewnej dziedzińce i zastawionej przez nią pułapce na zbójców, co pokazuje, że napastnicy czasami stawiali się ofiarami swych niepomamowanych zapędów.

ZBÓJECKIE GNIAZDA

Przy granicy wiele wsi dawało wytchnienie beskidnikom. Ukryte w głębokich dolinach śródgórskich rządziły się swoimi prawami. Do niektórych z nich przylgnęła łatka „zbójniczych”. Robert Bańkosz wskazuje tu np. Wołosate. Także w Balciny za trudniących się rozbójnictwem fachem uważano mieszkańców o nazwiskach: Iwański, Iwulski, Janicki, Jaworowski, Kulczycki czy Zaklika.

Również geograf i badacz nazewnictwa bieszczadzkiego Wojciech Krukar w swoim artykule poświęconym Połoninie Wetlińskiej przywołuje zbójnicze lokalizacje w Bieszczadach. Jedną z nich była góra Stoły, której nazwa ponoć miała wywodzić się od marmurowego stołu, przy którym zbójnicy oblewali zakończone sukcesem rabunkowe wyprawy. Drugi taki stół znajdował się na Jaworniku.

Przykład z Orelca pokazuje, że legendy o bieszczadzkich zbójnikach – pomimo upływu wielu stuleci – są nadal żywe. Jednocześnie mogą być inspiracją do tworzenia atrakcji turystycznych.

Chłopiec od kolorowych ptaków

Dominik to wielki przyjaciel ptaków domowych FOT. KRZYSZTOF POTACZAŁA

REPORTAŻ

KRZYSZTOF POTACZAŁA

Dziesięcioletni Dominik Kowalczyk z Ustrzyk Dolnych ma nietypową pasję. Od kilku lat zajmuje się hodowlą ptaków ozdobnych, ogrodnictwem i ziółami. Do tego z zacięciem pomaga tacie przy renowacji zabytkowych rowerów i motocykli.

Jednorodzinny dom na osiedlu Wincentego Pola u podnóża Kamiennej Laworty. Z okien i z podwórza widać zalesiony masuw, który jesienią mieni się czerwono-rudo-żółto z dodatkami zieleni. Jesień w Bieszczadach może przyprawić o zawrót głowy i nie ma w tym krztyny przesady, ale bywa, że przez kilka dni z rzędu pada. Wtedy Dominik siedzi w swoim pokoju na piętrze, przegląda kolorowe albumy z roślinami i ozdobnym ptactwem, buszuje w internetowej sieci. Ale nie z nudów, lecz w poszukiwaniu ciekawych filmów z dziedziny przyrody, ogrodnictwa i hodowli zwierząt.

– Potrafi tak godzinami, więc czasami zapomina, że wcześniej powinien odrobić lekcje – mówi z uśmiechem Monika Kowalczyk, mama chłopca. – To prawda – przytakuje Marcin, tato Dominika, lecz w jego głosie nie słychać przygany. Wie, że syn sobie poradzi, nawet jeśli zbyt mocno pochłona go inne zajęcia.

KOGUT BUDZI OSIEDLE

Gdyby zapytać, po kim Dominik odziedziczył zainteresowania, nie byłoby jednoznacznej odpowiedzi. Choć może to się zaczęło dawno temu na wsi, gdzie mieszkają rodzice Marcina i gdzie mały Domiś, jak pieszczotliwie mówi do niego mama, przyjeżdżał często w odwiedziny. To tam po raz pierwszy widział prawdziwe gospodarstwo rolne, mógł się przyglądać zwierzętom i maszynom. Ale mogło być też tak, że wziął coś od dziadka ze strony mamy. Ojciec Moniki z pasją hodował gołębie, a wnuczek się przyglądał. W dodatku jako małe dziecko nasłuchiwał się opowieści pradziadka o lesie, pszczelarstwie, roślinach i dzikiej zwierzynie. O wszystkim tym, co wkrótce potem stało się ważne dla chłopca. Nasiąknął tymi opowieściami, zapachami, odgłosami i postanowił, że sam spróbuje stać się gospodarzem. Najbardziej ciągnęło go do ptactwa.

– Któregoś dnia syn już tak naciskał, że kupiliśmy mu pierwszą kwokę, a po jaja kur ozdobnych pojechaliśmy aż do Orłowa za Przemysłem – relacjonuje Marcin Kowalczyk. – To były jajka od różnych ras kur i w ten sposób zaczęła przy

naszym domu powstawać niewielka zrazu hodowla. Jednocześnie Dominik z moją skromną pomocą zaczął nawiązywać kontakty z innymi hodowcami w regionie. Specyfika polegała na tym, że wszyscy byli dorośli. Nie mogli uwierzyć, że sześciolletni chłopiec chce hodować ptactwo domowe.

– Kupiliśmy pierwsze poradniki i albumy, potem pojechaliśmy na targi Agrobieszczady organizowane cyklicznie w Lesku – wspomina pani Monika. – Od tej pory już regularnie bywaliśmy z synem na podobnych imprezach, skąd Dominik przywoził ptactwo i coraz większą wiedzę.

– A pamiętasz tato, jak kiedyś kupiliśmy czarne indonezyjskie kury ozdobne? – pyta chłopak i śmieje się, że był jeden ważny powód. – Myślałem, że znoszą czarne jajka, lecz prędko okazało się, że jednak białe i szarawe. Ale te czarne ptaki, zwłaszcza kogut, wzbudziły wielkie zainteresowanie wśród znajomych i sąsiadów. Wiadomo, że koguty pieją, ten jednak miał tak donośny głos, że budził ludzi w blokach przy ulicy Gombrowicza. Nie musieli nastawiać zegarka, żeby wstać na czas do pracy...

KARMİ PTAKI I MAJSTRUJE

„Indonezyjki” spacerowały sobie po trawniku w zagrodzie Kowalczyków, a przechoźnię przystawiali i oglądali pięknie upierzone ptaki. Czasami wdawali się w rozmowę z Dominikiem, choć nie mieli pojęcia, że to on jest właścicielem stadka. Dopiero po paru zdaniach, kiedy ze złością wyjaśniał im, skąd pochodzą jego kury, jakie mają zwyczaje, co jedzą i jak się zachowują w stosunku do innych ptaków – z uznaniem potakiwali i szli dalej.

Z czasem hodowla się rozwinęła. – Zbudowałem wolierę, klatki, a we wszystkim pomagał mi syn – cieszy się pan Marcin. – Kiedy przybyło nam przepiórek, bażantów i innych ptaków, zrozumiałem, że to już nie jest kaprys, lecz prawdziwa hodowla, do której Dominik podchodzi z powagą i odpowiedzialnością.

– Jednocześnie doskonale przy tym się bawi, to go odpręża, daje poczucie zadowolenia – zaznacza mama chłopca. – Nie ma problemu z tym, że musi regularnie sprzątać wolierę i klatki. A także dbać o odpowiednie żywienie i obserwować, czy jego podopieczni są w dobrym stanie zdrowotnym.

Latem wszystkie ptaki przebywają na powietrzu, ale od późnej jesieni do wiosny niektóre gatunki muszą mieć ciepło. – To dlatego poprosiłem tatę, żeby przygotował miejsce w garażu i tam wstawiliśmy kilka klatek z bardziej wrażliwymi ptaszkami – opowiada Dominik. – W takich warunkach spokojnie sobie żyją, a ja tylko zbiegam po schodach, żeby wymienić karmę i wodę. Chociaż, przyznam szczerze, schodzę

Dominik ma do ptaków tak czuły stosunek, że nawet te uznane za nieco agresywne pozwalają, by je głaskał. Nie wylęczając czarnego koguta, którego ślepia nie zawsze są łagodne

też z innego powodu. W tym obszernym garażu tato ma warsztat, w którym naprawia stare motocykle i rowery. I mnie to bardzo ciekawi. Stoją tu: WSK-a, SHL-ka, Jawa, Junak, Romet i kilka innych maszyn, są też rowery Wigry i Pelikan. Kiedy tato pozwala, przyłączam się do niego i też majstruję. To takie fajowe, kiedy własnoręcznie można coś zrobić, na przykład rozebrać i złożyć jakąś część albo wyczyścić element, który był brudny, a teraz lśni i nadaje się do użytku.

– Na początku byłem sceptyczny, ale Dominik naprawdę to lubi – mówi ojciec. – Jak się na coś zawnieźmie, to już nie odpuszcza. Godzinami będzie rozkręcał i skręcał, aż mu się uda. Kiedyś tak zrobił z wysuwaną wiertarką.

MALUCH ZA PIENIĄDZE Z KOMUNII

Chłopiec cieszy się na widok starych jednośladow, ale oczy zapalają mu się jaśniej na widok granatowego fiata 126 p, który wypolerowany stoi w centralnym miejscu podziemnego garażu. – Domiś marzył o swoim autku, gdy zaś nadarzyła się okazja, kupiliśmy od znajomych – mówi Marcin. – Ten maluch ma 40 tysięcy przebiegu, oryginalny lakier i wyposażenie, niemal nic nie zostało w nim zmienione od lat osiem-

dziesiątych. Ale posłaliśmy z synem o krok dalej i doposażyliśmy samochód w elementy z epoki, między innymi starą gazetę, paczkę papierosów bez filtra i zestaw biwakowy: małą butlę gazową, kocher, rozkładany stół i krzesła. Z kolei na bagażniku przymocowaliśmy rower składak i starą tekturową walizkę. Czasami jeździmy sobie na różne spotkania i złoty zabytkowych pojazdów, to supersprawa.

– Fiaciek jest zarejestrowany jako zabytkowy, dlatego ma żółte blachy – tłumaczy z uśmiechem Dominik i zdradza, że kupił go sobie za pieniądze, które otrzymał w prezencie na pierwszą komunię świętą. Sam jeszcze nie prowadzi, ale lubi posiedzieć w maluchu, zna wszystkie „bajery”, włączniki, sygnalizację, zgłębił też wiedzę o silniku. Za parę lat, kiedy zrobi prawo jazdy, sam wsiedzie za kierownicę i ruszy w swoją pierwszą samodzielną podróż wymarzoną w dzieciństwie autem.

Ustrzyki Dolne ze wszystkich stron otaczają zalesione góry. U ich podnóża, na łąkach w pobliżu ludzkich siedzib, na co dzień pasą się jelenie. To nic dziwnego, chyba że dla turysty, który pierwszy raz w życiu zderzy się z taką sytuacją. – Przyjechali kiedyś do nas znajomi – mówią Kowalczykowie – Domiś oprowadzał ich po gospodarstwie, wyszli za dom, a tam ich przywitał potężny byk z okazałym porożem. Stał i patrzył, a oni na chwilę oniemieli. – Co to jest?! – zapytali w końcu. – Jak to co, jelenie! – Tutaj, koło domu? – A pewnie! U nas to normalna, tak samo w innych rejonach Ustrzyk. Jelenie chodzą sobie nierzadko w miasteczkach na Alasce, żerując na trawnikach między domami, blokami i w ogóle nie bojąc się ludzi.

W POSZUKIWANIU ZIOŁ

Na tych samych łąkach syn Kowalczyków spaceruje często w poszukiwaniu ziół i kwiatów, które następnie sadzi na rabatkach przy domu. Potrafi rozpoznać szereg gatunków, określić ich nazwy i przydatność do spożycia lub leczenia. Najbardziej upodobał sobie polne bratki. Dlaczego? – Bo są przeliczne – stwierdza i nie musi już nic wyjaśniać.

Z naturalnych darów korzystają jego ptaki. Ma do nich tak czuły stosunek, że nawet te uznane za nieco agresywne pozwalają, by chłopiec je głaskał. Spędza z nimi na tyle dużo czasu, że jest jedynym z rodziny, który może bez obaw wejść do każdej wolierki lub zbliżyć się do czarnego koguta, któremu nie zawsze łagodnie patrzy z oczu. Żeby tylko! Swego czasu Dominik, obecnie uczeń czwartej klasy Szkoły Podstawowej nr 2 w Ustrzykach Dolnych, od pisklęcia wychował bażanta, któremu nikt nie dawał szans na przeżycie. Stworzył mu idealne warunki: ciepło, światło, wodę i pożywienie; patrzył jak rośnie, tulił, aż z pisklaka wyrósł dorodny, kolorowy ptak. – Nie do wiary – mówili ci, którzy poznali tę historię. – Ma chłopak serce do zwierząt, może więc kiedyś zostanie przyrodnikiem.

– Kto wie... – zamyśla się na moment Dominik, a potem podkreśla, że to nie oznacza, iż zrezygnuje z prowadzenia gospodarstwa.



Z tatą w warsztacie podczas naprawy starego motocykla FOT. KRZYSZTOF POTACZAŁA



Helena Gądek z mężem i synem Krzysztofem tuż po chrzcie w Pszczelinach, kwiecień 1969



Helena Gądek współcześnie FOT. ARCHIWUM RODZINNE (2)

OPOWIEŚCI Z LASU

EDWARD MARSZAŁEK

Mieszkała i pracowała na zupełnym odludziu, gdzie nawet zahartowanym chłopom nie było łatwo. I doskonale sobie poradziła. Dziś z uśmiechem wspomina tamte lata.

Helena spod Bukowego Berda

Pojawiła się w Bieszczadach w 1965 roku, tuż po ukończeniu szkoły gastronomicznej. Najpierw na chwilę w Jabłonkach, rok później już w Ustrzykach Górnych, by ciężko pracować na kuchni w Ośrodku Zaopatrzenia Robotników. Były to czasy, gdy w okolicy działał park konny w Wołosatem, baza kamieniomu Zarządu Budownictwa Leśnego w Ustrzykach Górnych i trzy leśnictwa intensywnie pozyskujące drewno i zalesiające kolejne dziesiątki hektarów dawnych łąk i pól uprawnych. Ludzi wokół było sporo, a żyli w warunkach trudnych, nawet trudno dziś wyobrażalnych.

WYGNANI ZA KARĘ

Od dziecka przywykła do ciężkiej pracy, więc wsiąkała w klimat Bieszczadów jak wiosenne deszcze w połoninę. Wysoka, zgrabna, ładna dziewczyna miała wzięcie – wkrótce wyszła za mąż za Józefa, wozaka parku konnego w Wołosatem. Wyswatał ich inny wozak, Józef Kandela. Na ślub postanowili nie czekać, ale żeby też nie czekać na wypłatę, Helena „pożyczyła” z ożetrowskiej kasy 1200 złotych, niezbędne do finansowego spięcia kosztów wesela.

- Zaraz po powrocie mieliśmy obydwoje dostać wypłatę, więc ta „pożyczka” nie była żadnym problemem dla firmy, ale ktoś uczynny podsunął kierownictwu pomysł, by właśnie wtedy, gdy mnie nie ma, przeprowadzić kontrolę. Wyszło manko! – wspomina Helena Gądek. - Za karę zostaliśmy z mężem skazani na Sokoliki. Pojechaliśmy tam parkowym zaprzęgiem razem z prezentami ślubnymi, prosto do roboty.

Tego lata na łąki Bukowca w leśnictwie Sokoliki przewieziono trak wojskowy obsługiwany przez ekipę z ZBL, której zadaniem było przecieranie drewna pochodzącego z akcji kornikowej. Robotnicy i kierownik Wiktor Dec mieszkali w czterech barakach nad potokiem Wołowiec; w jednym z baraków wydzielona była część na wspólną kuchnię i magazyn pościeli, w szopie pod świerkiem zlokalizowano magazyn żywności – głównie konserwy i słoiki. Całą administrację, logistykę i kuchnię prowadziła właśnie Helena.

Pościel prała w nurcie Wołowca tylko przy użyciu szarego mydła, a w słoneczny dzień suszyła ją rozciągniętą na trawie. Gdy wyschła, pachniała całą plejadą wonności łąk. Miała do dyspozycji tzw. westfalkę, na której trzeba było upiec bieliznę dla kilkunastu ludzi. Zwoływała ich przy pomocy syreny strażackiej na korbę. Echo niosło po górach wieść, że nad Wołowcem jest już zupa i kawał wołowiny na talerzu. Robotnicy zatrzymywali wtedy trak i schodzili na obiad.

NA CZTERY ETATY

Prowiant najczęściej dowoził z Pszczelin wozak Jarosz. Zanim mięso luzem dojechało do Sokoliki, czasami zmieniało zapach. To prawie 40 km od sklepu! Wówczas Helena nacierała je solą, miętą i czosnkiem, a potem pakowała do zakopanej w ziemi beczki, by zachowało się jak najdłużej.

- Któregoś ranka chłopcy ruszyli już do roboty, ja posprzątałam baraki i brałam się do robienia obiadu. Gdy poszłam do beczki z mięsem, przeżyłam szok. Tuż obok rozdartego dekla

stał ogromny, kudłaty niedźwiedź, w pazurach trzymał płat mięsa i gapił się na mnie złowrogo. Uciekłam do baraku i czekałam w nim, aż wróci ktoś z lasu. Dopiero wtedy zabraliśmy resztę mięsa z beczki. W całości poszło na obiad.

Podstawą wyżywienia jednak wciąż były konserwy, które mocno obrzydły robotnikom. Wieczorami wyprawiali się na San i łowili pstrągi, które potem piekli na blasze lub bezpośrednio na ognisku. Zbývające zaś konserwy wymieniano niekiedy przez graniczną rzekę za wódkę i papierosy z „ruskimi”, jak wtedy nazywano mieszkańców ZSRR. Latem zbierano worki rydzów, a byli też tacy, którzy rozsmakowali się w ślimakach. Winniczków nad potokami było zatrzęsienie. Urozmaicheniem był też ser i żętyca wymieniana za konserwy z góralami pasącymi owce w Tarnawie i w Beniowej.

Manko spłaciła szybko. Wtedy dostali z mężem mieszkanie w Pszczelinach. Helena była w ciąży, do przyścia na świat sposobili się syn. Żeby poprawić domowy budżet, jesienią dora-

biała zbieraniem bukwi. Niedługo potem przenieśli się do nowej osady w Wołosatem, na świat przyszła córka. Przyszłość wydawała się otwierać dla młodych, lecz wtedy życie dało Helenie mocnego kopniaka. W 1978 roku płk Kazimierz Doskoczyński wymarzył sobie tę dolinę na wyłączność i wyrzucił ze wsi wszystkich mieszkańców. Dostali zagrzybione lokum po pracownikach PGR w Stuposianach. Rok później, w listopadzie 1979 roku, nagle zmarł jej mąż.

Przeciętnie zaradna wdowa z dwójką kilkuletnich dzieci poszłaby zapewne do pomocy społecznej i żyła z zasiłku. Ale nie ona, nie Helena.

Wcześniej już pracowała na cztery etaty w Wołosatem: obsługiwała sklep, stołówkę, hotelową recepcję i jeszcze sprzątała. Zamiast popadać w rozpacz, ciężką harówką zarabiała tyle, co furmani w lesie. Z tą różnicą, że nic nie przepijała.

ŻUBRZYNA DLA ROBOTNIKÓW

W 1981 roku, w momencie zwrotu przez URM hotelu w Muczmem dla Nadleśnictwa Stuposiany, objęła szefostwo kuchni i razem z dziećmi zamieszkała w jednej z robotniczych osad. Gotowała dla 100-120 osób, mając ciągłe braki kadrowe w kuchni. O problemach z zaopatrzeniem w produkty można nie pisać – wiadomo, że były codziennością. Bywało jednak, że w Muczmem pojawiła się żubrzyzna – jak dawniej na królewskim stole! W latach 1984-1989 tusze żubrów upolowanych przez dewizowców, głównie Hiszpanów, trafiały na hotelową stołówkę. Strzelali zazwyczaj stare byki; waga samego mięsa dostarczonego do zagospodarowania w kuchni sięgała 700 kilogramów!

- To było jak zemsta na mnie i na ludziach – wspomina Helena. - Zdarzyło się tak, że przewieziono zwierza bez patroszenia, bo myśliwi musieli szybko uczcić swój sukces. Trafił się wielki byk o zaparzonym już mięsie, choć weterynaryjnie było wszystko w porządku. Ile ja się nagimnastykowałam, żeby pozbyć się tego zapachu. Robotnicy kłękli, ale ja musiałam rozchodować tę masę. Trwało to nawet miesiąc; robiłam kotlety grubości kilku milimetrów, na cały talerz. Po latach jednak ludzie sympatycznie wspominają, że w robotniczej stołówce serwowano żubrzyznę.

Resztki i zlewki z kuchni nie miały prawa się marnować, więc wiosną kupowała dwa prosiaki i na zimę miała zapas mięsa i wędlin, mogła nim dzielić się z innymi. Kilka razy zakradał się do chlewika niedźwiedź, ale był odpędzany.

- Rozzuchwiał się dopiero w 1987 roku, gdy zabił konia wozakowi Piordasowi – opowiada Helena Gądek. - Kolejnego wieczoru przyszedł do mojego chlewika. Kwik świni słychać było pewnie aż pod Bukowym Berdem, więc wielu ludzi wybiegło z domów zobaczyć, co się dzieje. W świetle latarki widziałam tylko ślepią niedźwiedzia, który kwiczącego wieprzaka nabił na swe pazury i darł do lasu. Nikt nie ośmielił się za nim podążyć, ale rano po widocznych śladach krwi poszliśmy w kilka osób. Drapieżca zaciągnął swoją zdobycz nad leśniczówkę Antka Derwicha i tam ją dobił. Gdy natrafiliśmy na jego legowisko na niewielkiej polance, uciekł, zostawiając walające się resztki rozdartej świni... A ważyła około 130 kilo!

POMNIKOWA KOBIETA

W stołówkach Helena karmiła setki bieszczadników. Wiele z nich pewnie nawet nie miało pojęcia, jak musiała się starać, by coś treściwego nałożyć im do talerza. Samotnie wychowała dwójkę dzieci, które dziś znakomicie radzą sobie w bieszczadzkich warunkach jako przedsiębiorcy. Jest animatorką życia religijnego, pisze wspomnienia i wiersze. Wierzę, że jeśli ktoś wymyśli pomnik bieszczadzkiej kobiety, to będzie na nim wizerunek Heleny. Niechby stał gdzieś w dolinie Sanu, niechby patrzyła z niego jak słynna niegdyś Miodowa Baba, Polka spod Rabej Skąły, która dla Słowaków z drugiej strony gór jest symbolem mocy słabej płci.

*„Tuż obok rozdartego
dekla stał ogromny, kudłaty
niedźwiedź, w pazurach
trzymał płat mięsa i gapił
się na mnie złowrogo”.*

Ze szczypcami i przyssawką

LUDZIE I PRZYRODA

KRZYSZTOF POTACZAŁA

Do podkarpackich potoków i rzek wrócił rak szlachetny. Po latach nieobecności ten rzadki skorupiak znowu cieszy oczy przyrodników. Drugim gatunkiem, który po dłuższej przerwie zadomowił się w ciekach regionu, jest minog.

Rak szlachetny (lub rzeczny - za miennie używane nazwy) był kiedyś w podgórskich wodach bardzo liczny. Występował we wszystkich czystych rzekach i potokach, toteż nie bez przyczyny zwano go barometrem czystości wód. Ale wędkarze natrafiali na niego niekiedy także w stawach, co było o tyle dziwne, iż muliste dno stawów nie jest najbardziej przyjaznym środowiskiem dla tego gatunku.

WSZYSTKO PRZEZ PESTYCYDY

- Gdzie te czasy, kiedy wyprawialiśmy się na połowy raków - wzdycha sędziwy Antoni Grochowski. - Przed wojną żyło ich zatrzęsienie w każdym strumieniu, a łażenie za rakami należało do najbardziej atrakcyjnych zajęć, ulubionych zwłaszcza przez chłopów.

Długo po wojnie też nie było źle, lecz w latach 70. liczebność raka szlachetnego zaczęła spadać. W dziewiątej dekadzie ubiegłego stulecia przyrodnicy bili już na alarm. Sympatyczny skorupiak musiał uciekać ze potoków i rzek z powodu ich coraz większych zanieczyszczeń chemikaliami. W niektórych rejonach gatunek ten stał się w pewnym momencie tak rzadki, iż zobaczenie go uznawano za wyjątkowe szczęście. Ale cóż się dziwić, skoro za PRL-u toni trujących odpadów i nawozów sztucznych z Państwowych Gospodarstw Rolnych, a także ścieków z gospodarstw indywidualnych, trafiały wprost do wód. Przyroda umie się bronić, ale w końcu przychodzi czas, kiedy konieczna staje się pomoc człowieka.

- Obserwowałem postępującą degradację cieków i znikanie raków niejako na co dzień - opowiada Mariusz Strusiewicz, fotograf przyrody, który od dziecka chadzał z ojcem podglądać życie skorupiaków. - Z każdym rokiem widywaliśmy ich mniej, zaczęły szukać lepszego miejsca do rozrodu i życia, tak te potoki były zabrudzone. Dlatego teraz, kiedy spaceruję wzdłuż strumieni czy rzek i widzę raka szlachetnego, serce mi się raduje.

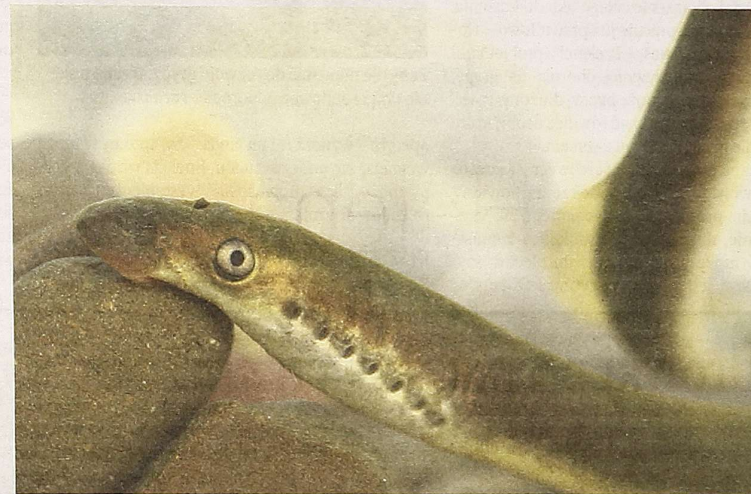
INWAZYJNY KONKURENT

- Rzeczywiście od pewnego czasu coś pozytywnego dzieje się w rzekach Pogórza Bieszczadzkiego, bo odbudowuje się zarówno populacja ryb, jak i raka szlachetnego - twierdzi pan Dariusz, wędkarz z wieloletnim stażem, który zna niemal wszystkie tutejsze potoki i rzeki. - Kilka lat temu, po długiej nieobecności, zauważyłem raki w Strwiążu. Kiedyś była to rzeka, którą płynęły wszelkie chemikalia, odpady z rzeźni, gnojówka i wszystko, co tylko ktoś mógł wylać.

Podkarpacie ma szczęście - jak na razie w miejscowych ciekach wodnych nie ma raka przegowanego, który skutecznie wypiera winnych regionach niezwykle rzadkiego raka szlachetnego. Ten ostatni znajduje się w polskiej Czerwonej Księdze Zwierząt, a dodatkowo został uznany za gatunek wysokiego ryzyka narazony na wyginiecie. Natomiast rak przegowany (sprowadzony do Polski w 1890 r. z Ameryki Północnej) ma się dobrze. Jest odporniejszy od swojego mniejszego kuzyna, silniejszy, a nade



Rak szlachetny, zwany też rzeczny FOT. MARIUSZ STRUSIEWICZ



Minog ukraiński FOT. MARIUSZ STRUSIEWICZ

wszystko przenosi racą dżumę, wyniszczającą chorobę, na którą rak szlachetny nie jest uodporniony.

Obecność w czerwonej księdze nie oznacza jednak dla raka szlachetnego ścisłej ochrony. Jest on objęty jedynie czasowym okresem ochronnym trwającym od 15 października do 15 marca dla samców i od 15 października do 31 lipca dla samic. Jak piszą Tadeusz Krzywonos i Przemysław Śmietana z Instytutu Ochrony Przyrody PAN w Krakowie, pośrednim sposobem ochrony raka szlachetnego jest zakaz wpuszczania złowionych raków przegowanych i sygnałowych do łowiska, w którym je złowiono i do innych wód. Zdaniem autorów, te ograniczenia wydają się być dostateczne dla ochrony gatunku, problemem jest tylko brak ich powszechnej znajomości i respektowania przez wszystkich potencjalnych użytkowników wód.

DRUDZY W EUROPIE

Amatorów nielegalnych połowów nie brakuje. Podobnie jak w przypadku każdego innego kłusownictwa, również dzikie odławianie raków jest trudne do udowodnienia. Trzeba delikwenta złapać za rękę, być świadkiem „lewej” działalności. Tymczasem strażnicy rzek i potoków nie mają w swoich szeregach liczby osób zapewniającej skuteczną ochronę wszystkich miejsc, w których występuje rak szlachetny. Znacznym zagrożeniem dla jego spokojnego bytu jest też

rosnąca populacja wydry. To piękne drapieżne zwierzę zasmakowało w rakach i nie przepuszcza okazji do polowań na nie. Podobnie tam, gdzie w rzece jest dużo ryb drapieżnych, jak np. okoń, rak ma niewielkie szanse na przetrwanie.

Jest jednak nadzieja, że gatunek będzie się nadal odradzał i ponownie kojarzył z Polską. W końcu nie tak dawno, bo w latach trzydziestych XX wieku, byliśmy drugim w Europie (po Rosji) krajem najbardziej zasobnym w raka szlachetnego.

RYBA Z NIETYPOWĄ BUDOWĄ

W Polsce żyje minog morski, rzeczny, strumieniowy i ukraiński. Ten ostatni między innymi w rodzimych ciekach wodnych graniczących z Ukrainą - rzece Strwiąż i potoku Stebnik. Widują go wędkarze, ale nie zarzucają na niego haczyka. Minog to gatunek chroniony, coraz rzadszy, choć nie cieszy się szczególną estymą wśród miłośników wędkarstwa i stódkowodnych ryb. Warto go jednak poznać, chociażby z uwagi na nietypową budowę.

Kiedy jeszcze 20-30 lat temu graniczne potoki były mocno zanieczyszczone, nikt nie uświadczyl w nich minoga. Za Polski Ludowej dość powszechnie stosowano środki chemiczne, mające skutecznie zabić niszczące pola uprawne szkodniki, w tym osławioną stonkę ziemniaczaną. To przeciwko niej rozpylano zabójczy DDT (Azotox), który wraz z wodami

gruntowymi przedostawał się do rzek i potoków. I skutecznie zatruwał życie ryb, zabijając skorupiaków.

Według badaczy ichtiofauny, tam gdzie występuje minog rzeczny, woda musi być czysta. Przed setkami lat ten gatunek był w Polsce powszechny, ale im większe następowało uprzemysłowienie, im większa mechanizacja rolnictwa - tym gorzej było z minogiem. Dopiero po transformacji ustrojowej 1989 roku i likwidacji PGR-ów wzrosła świadomość ekologiczna samorządów i obywateli. Zaczęło się powolne odbudowywanie czystości środowiska, ruszyła budowa nowych oczyszczalni ścieków, ale też prac społecznych prowadzonych m.in. przez wędkarzy i młodzież szkolną.

Po latach w malowniczo wijącym się między górami Strwiążu znowu pojawił się pstrąg, rak, a także omawiany minog. Podobnie jak w potoku Stebnik, dopływie Strwiąża, gdzie dzisiaj można spotkać wędkarzy łowiących pstrągi tęczowe, a turyści już nie boją się wchodzić do wody w obawie przed zakażeniem groźnymi bakteriami.

KIEDYŚ BYŁ PRYSMAKIEM

Wróćmy jednak do minoga, w tym przypadku ukraińskiego, bo takowy występuje w podgórskich potokach i rzekach, choć żyje również w dopływach Narwi, Biebrzy i Bugu, w lewobrzeżnych dopływach środkowej Wisły (Jeziora, Pilica), w dopływach Warty czy dorzeczu Odry. Najmniej zagrożony jest jednak na wschodzie Polski, gdzie wiele rzek i strumieni zachowało naturalny charakter.

Niewiele od minoga ukraińskiego różni się jego kuzyn minog strumieniowy. W zasadzie tylko znawcy mogą bezbłędnie odróżnić te gatunki, bo dzielą je naprawdę drobne szczegóły. Obydwa można z łatwością pomylić z młodymi węgorzami, co - jak przysługują wędkarze - nie raz miało miejsce i było przyczyną wielu żartów pod adresem podekscytowanych miłośników „moczenia kija”, którzy byli przekonani, że oto trafili na siedlisko węgorza. Minog strumieniowy również występuje na terenach podgórskich i nizinnych, jednakże na wschodzie kraju jest znacznie rzadszy od ukraińskiego. Najwięcej „strumieniowca” żyje w górnym dorzeczu Odry, Łaby i Wisły oraz w ciekach płynących przez niektóre parki narodowe, m.in. pieniński, drawieński czy roztoczański.

Minog uważany jest za rybę, choć niektórzy twierdzą, że z rybą ma niewiele wspólnego. Chociażby z uwagi na swoją budowę. Ryba ta nie ma szczęk, otwór gębowy jest okrągły (z tzw. przyssawką), posiada robakowaty kształt, płetwy grzbietowe stykają się ze sobą, a ciało pozbawione jest łusek. Minogowi ponadto brakuje płetw piersiowych i brzusznych. Mimo to od wieków znano go w Europie, a jego mięso (zwłaszcza minoga morskiego i rzeczno, większych od strumieniowego i ukraińskiego) było przysmakiem nie tylko na pańskich stołach. Solono je, wędzono i marynowano. W Polsce jeszcze w okresie międzywojennym dzienne połowy minoga rzeczno dochodziły do 50 ton i były prowadzone głównie w dolnej Wiśle. Później zaczął się powolny, ale systematyczny regres gatunku, spowodowany nie tylko zanieczyszczeniami, budową zapór i regulacją cieków wodnych, ale też kłusownictwem.

O minogu pisał przed wiekami Arystoteles, zaliczając go - z uwagi na obłą budowę - do morskich robaków. W swym podstawowym kształcie nie zmienił się od 340 milionów lat! Już tylko przez to minog zasługuje na uznanie.

ROZMAITOŚCI



KRZYSZTOF MARCELI WNUK

Rośliny na lepsze samopoczucie

Właścicie powinni być – zielono nam. Ale przyroda ma swoje prawa, rośliny liściaste tworząc wielobarwne obrazy, głównie w odcieniach żółtego, tracą liście i na przedcudne, delikatne odcienie zieleni każą nam poczuć do wiosny. W Bieszczadach mamy jeszcze dużo zielonych roślin iglastych, najcenniejszą jednak rosą one w pełnym oddaleniu od naszych domów, a te kiedyś rosnące na płaczkach i skłachach są z dziwnego powodu sukcesywnie wycinane. Zostaje jeszcze żywotnik – tuja – podobno najlepszy sposób na wściekłego sąsiada. Jednak trochę przerabiając piosenkę Wiesławy Drojczkiej – trochę wiosny jesienią czytelnikom dać chcę.

Bardziej zieloni niż samej wiosny, ponieważ zielone rośliny w naszym otoczeniu dają szansę na lepszy nastrój, klimat. Jesienią, zimą ponad 20 godzin dziennie spędzamy w pomieszczeniach zamkniętych, czyli mnóstwo czasu, oddychając powietrzem, które może zawierać wiele szkodliwych substancji. To niezdrowe związki chemiczne obecne w farbach, lakierach, dywanach, płytach wiórowych. Te toksyczne wyzyskują powodując trudne do wyjaśnienia dolegliwości – osłabienie naczyń krwionośnych, bóle głowy, podrażnienie oczu i dróg oddechowych. Specjaliści medycyny środowiska mówią o „zespole chorego budynku”.

Niestety nie da się wyeliminować obecności szkodliwych substancji z miejsc zamieszkania i pracy, ale dzięki roślinom doniczkowym możemy znacznie zmniejszyć ich wpływ. Od jakiegoś czasu nauka zwraca uwagę na wpływ roślin na atmosferę w pomieszczeniach. W związku z tym naukowcy z amerykańskiej agencji NASA wykazali, że kilka roślin w pomieszczeniu może uwolnić nas od szkodliwych substancji w powietrzu. To między innymi storczyk, gerbera, chryzantema, filodendron, palma acera, figowiec Benjamin, zielistka Sternberga, aloes, cissus rombolistny, bluszcz pospolity, kaktus, jukka. Posiadacze tych kwiatów mogą już teraz poczuć się lepiej, a ci, którzy jeszcze nie są ich hodowcami, powinni rozważyć konieczność ich zdobycia. Metodą „na uszczelniającą szczepkę” lub drogą kupną.

Z grypą nie ma żartów, może nawet zabić

Sezon grypy w pełni. Powikłania po niej mogą być niebezpieczne dla zdrowia, dlatego warto zadbać o siebie zanim nasz organizm ulegnie zakażeniu.

Grypa to choroba zakaźna wywołana przez wirusy. Rozwija się nagle, towarzyszą jej objawy ze strony układu oddechowego oraz objawy ogólnoustrojowe, m.in. wysoka temperatura, ból głowy, zmęczenie, kaszel, bóle mięśni i stawów. Wirusy grypy są zwykle przez nas bagatelizowane, a niestety jej niewyleczone następstwa mogą być bardzo groźne, o czym mówi dr hab. n. med. Adam Janas, kardiolog z Grupy American Heart of Poland.

GROŹNE WIRUSY

Grypą możemy zarazić się bezpośrednio poprzez kontakt z osobą chorą, ponieważ wirusy rozprzestrzeniają się drogą kropelkową. Do zarażenia może dojść również poprzez dotykanie przedmiotów, których używały osoby chore. Jeśli wirus ułokuje się w jamie nosowej, w gardle, w tchawicy czy w oskrzelach, zaczyna się szybko mnożyć, uszkadzając komórki. Wirusy grypy mogą również powodować zapalenie mięśnia sercowego.

Co więcej, ryzyko powikłań po grypie u pacjentów kardiologicznych jest o tyle poważniejsze, że może wpłynąć na zaostrzenie problemów sercowo-naczyniowych i obciążenie całego układu krążenia, który na co dzień nie pracuje już prawidłowo – tłumaczy dr hab. Adam Janas. Pacjenci z problemami kardiologicznymi intensywniej chorują na grypę, a czas rekonwalescencji może być wydłużony. Powikłania po grypie mogą dotknąć również osoby, które na co dzień nie mają problemu z sercem.

Objawy zapalenia mięśnia sercowego są często bardzo nieswoiste. Nasze podejrzenia powinny wzbudzić m.in. problemy z oddychaniem, zmęczenie, osłabienie, duszności, ból w okolicy żołądka, który może promieniować do pleców, szyi i barków, duszności, zaburzenia rytmu serca, utrata



Żeby nie dopuścić do rozwoju grypy, trzeba o siebie dbać i budować odporność. FOT. PIXABAY

apetytu – wylicza Adam Janas. Symptomy te mogą wzmacniać się podczas ruchu. Infekcja wirusem grypy może także powodować wystąpienie różnych rodzajów arytmii.

IM SZYBCIEJ, TYM LEPIEJ

Kiedy objawy grypy nie mijają mimo wprowadzone-

go leczenia lub trwają dłużej niż 10-14 dni, albo też jeśli dostrzeżemy permanentne zmęczenie, senność, stany podgorączkowe, przyspieszenie akcji serca podczas minimalnego wysiłku – należy niezwłocznie skontaktować się z kardiologiem. Specjalista podczas konsultacji wykona badania EKG, RTG klatki piersiowej, echokardiografię, czy też na poziom markera zawałowego. Jeżeli objawy szybko się nasilają, a ból w klatce piersiowej jest mocny, trzeba wezwać pogotowie ratunkowe. Natychmiastowa reakcja jest niezwykle ważna – im wcześniej wykryta zostanie choroba i podjęte leczenie, tym lepsze rokowania i mniejsze ryzyko wystąpienia groźnych powikłań.

Uszkodzenie mięśnia sercowego upośledza czynności serca i wymaga stałego leczenia. Stan zapalny w sercu może spowodować nieodwracalne uszkodzenia w jego budowie. Proces zapalny może prowadzić do zastąpienia miocytów przez tkankę łączną, czyli nastąpi zbliznowacenie. To z kolei będzie prowadziło do niewydolności serca – wyjaśnia kardiolog.

Grypa wymaga odpoczynku, ponieważ osłabia cały organizm. Chory powinien przebywać w izolacji przez około tydzień od wystąpienia objawów. Najważniejszy jest odpoczynek w łóżku, picie dużej ilości płynów, przyjmowanie zaleconych przez lekarza leków. Ważne, aby leczenie rozpocząć w ciągu dwóch dni od wystąpienia pierwszych symptomów choroby.

Na powikłania sercowe po grypie w szczególności powinny uważać dzieci do piątego roku życia, seniorzy po ukończeniu 65 lat, kobiety w ciąży, pacjenci kardiologiczni, osoby z obniżoną wydolnością układu odpornościowego, poddane immunosupresji czy zarażone wirusem HIV oraz chorujące na choroby przewlekłe: POCHP, astmę, chorobę wieńcową czy cukrzycę.

MPR

„Wędrówki po polańskich szlakach”

Trwają prace nad publikacją „Wędrówki po polańskich szlakach – przewodnik historyczno-przyrodniczy”. Opracowanie wspiera finansowo Fundacja Bieszczadzka – Działalność Lokalna, w ramach zgłoszonego projektu o nazwie „Polana jakiej nie znacie”.

Autorzy zamierzają opisać kilka ciekawych krajoznawczo szlaków spacerowych. Są to nieznane szlaki przeznaczone dla gości w Polanie turystów. Redakcja przewodnika stanowi odkrywcą przyciąga dla autorów, bo weryfikując ogólne znane fakty z najnowszej historii, dokonuje małych odkryć.

Nie każdy wie, że w latach 80. powstał w Polanie ołtarz do kościoła oo. bonifratrów na Nowym Mieście w Warszawie. Wzorowano się na zachowanym zdjęciu ołtarza zniszczonego w czasie powstania warszawskiego.

Kilkanaście lat temu w Rosolinie przypadkowo odnaleziono przedwojenną tablicę umieszczaną na domu sołtysa. Przed wojną Rosolin był wsią sołectką (gromadą) w gminie Polana, w Radzie Gromadzkiej Rosolina zasiadało 12 radnych. Tablica sołtysa jest ciekawym artefaktem – dowodzi, że przedwojenne tablice instytucji samorządowych miały tło białe, a nie czerwone, jak współcześnie, co jest dziedzictwem po czasach PRL-u.

Polański kościół z 1780 roku został po wojnie zdewastowany przez Sowietów, sprofanowano i rozkradziono jego wyposażenie, zdjęto z dachu blachę i pokryto nią nową świetlicę. Dzieła zniszczenia dokonali pracownicy PGR-u kilka lat po powrocie Polany do Polski. Najpierw wstawiono do kościoła młockarnię, a potem kościół rozebrano. W tym samym czasie zburzono murowany dwór

w Rosolinie. Jego fundamenty są ciągle wyraźnie widoczne.

W przewodniku przypominamy o zapomnianej działalności ZWZ w Polanie, znanej z relacji Ignacego Zatwarnickiego i Zdzisława Domańskiego – mówi Witold Smoleński, współautor opracowania. W konspiracji obowiązywał system trójkowy; Ignacy Zatwarnicki był w trójkę z Antonim Poznarem i Tadeuszem Domańskim. Polańska konspiracja w pierwszym okresie organizowała przerzut polskich żołnierzy i cywilów ze strefy okupacji sowieckiej na Węgry. Trasy prowadziły z Polany przez Serednie Małe, graniczny San, Generalną Gubernię do granicy węgierskiej.

Najłatwiej było przekraczać granicę w czasie pierwszej okupacyjnej zimy, bo sowiecka załoga w Serednim Małym nie była jeszcze zbudowana. Granicę przekraczano na nartach. Po jakimś czasie zaczęło brakować nart, gdyż narty nie wracały z Węgier. Konspiracja ZWZ była możliwa w Polanie, ponieważ wieś była jedną z nielicznych w Bieszczadach, w których dominowała ludność polska.

Mało znany jest fakt pożaru cerkwi w Chrewnie pod koniec lat 40. pod rządami administracji sowieckiej. Cerkiew spłonęła rok po śmierci proboszcza. Niewiele zabytkowych przedmiotów z wyposażenia świątyni udało się uratować. Pożar przerwała, stojąca w sąsiedztwie, murowana kaplica grobowa hr. Konarskich. Ale niszczącą kaplicę 20 lat później pochłonęły wody Zalewu Solińskiego.

Powstała w czasie komasacji gruntów polańska kolonia Za Stawami sugeruje, że w przeszłości istniały w sąsiedztwie stawy. Przed wojną już tych stawów nie było, ale na mapie Lidar wyraźnie widać zarys dawnego stawu.

Ciekawa jest etymologia niektórych polańskich



Odnaleziona w Rosolinie stara tablica
FOT. WITOLD SMOLEŃSKI

nazw terenowych. Kłapaczka to miejsce, z którego w okresie pańszczyźnianym oznajmiano przerwę w pracy na posilek lub na Anioł Pański. Używano do tego drewnianej kołatk.

Wzniesienie Figura to kulminacja nad nieistniejącym kościołem. Na grzbiecie stał krzyż co najmniej od XVIII wieku. Do krzyża przez lata organizowano procesje związane ze świętami kościelnymi. W Dni Krzyżowe przed Wniebowstąpieniem Pańskim wynoszono z kościoła figurę Chrystusa na kulminującą nad Polaną wzgórze.

W trakcie prac redakcyjnych autorzy zderzyli się m.in. z zagadnieniem lokalnego nazewnictwa. Niektóre oficjalne nazwy są błędnie zapisane albo błędnie zlokalizowane. O ile uściłowia jest procedura zmiany nazw urzędowych, to stosunkowo łatwe jest przeprowadzenie zmiany nieurzędowych nazw obiektów fizjograficznych znajdujących się na rządowym portalu Głównego Urzędu Geodezji i Kartografii – Geoportal.

Przewodnik autorstwa Inicjatywnej Grupy Wsi Polana ukaze się pod koniec tego roku. Autorzy planują aktualizować przewodnik w kolejnych wydaniach.

WS

REKLAMA
w Gazecie
Bieszczadzkiej
tel. 13 461 13 22



KONKURS BIESZCZADZKIEGO PARKU NARODOWEGO



FOT. EWA BUJALSKA

Kora drzew pełni bardzo ważną funkcję. Ostaną pień od zewnątrz, chroni przed utratą wody, mrozem i wnikaniem niepożądanych organizmów, takich jak zarodniki grzybów i bakterie. Tak jak nasza własna skóra, ulega niekiedy skażeniu. Małe ranki po jakimś czasie zablizniają się, natomiast na silniejsze zranienie kory drzewa reaguje zakłóceniami wzrostu lub nawet śmiercią. Jej wierzchnią warstwę tworzą martwe komórki korka, które często mają postać głęboko splekanych, luszczących się bruzd. Pomiędzy nimi znajdują się niewielkie przestwory, zaopatrujące w tlen głębiej położone tkanki: tyko, miąższ oraz zewnętrzne warstwy drewna. Rozpoznawanie drzew

po liściach, owocach czy nasionach jest w miarę prostą metodą ich rozróżniania. Czy potraficie Państwo rozpoznać gatunki drzew po samej kory?

Jakich gatunków drzew korę pokazaliśmy na fotografiach 1, 2, 3, 4?

Odpowiedź prosimy przysłać wyłącznie mailowo na adres: konkurs@bieszczadzka24.pl do 17 listopada 2022 r.

Rozwiązanie zagadki z numeru 22 GB: Borsuk europejski (Meles meles). Nagrodę wylosował pan Rajmund Piekarski. Gratulujemy.



SPÓD ŁOPIENNIKA

MATEUSZ ŚWIERCZYŃSKI

Hu, hu, ha
– idzie zima zła

Nikt nie lubi dostawać pism z czerwoną, urzędową pieczęcią. Taka koperta dostarczona przez listonosza zwiastuje przeważnie jakieś nasze zaniedbanie lub brak zapłaty podatków, które, jak twierdził Benjamin Franklin, najczęściej mają wspólnego ze śmiercią. Też są pewnie. No, chyba że czeka się na przyznanie pieniędzy. Wtedy listu od władz wyglądamy z niecierpliwością.

Kremłowski lobuz, napadając na Ukrainę, postawił świat na głowie. Wszyscy obudzili się w nowej rzeczywistości, której głównym tematem jest wojna u naszego wschodniego sąsiada. Zareagowały również rynki, które nawet nie zdążyły jeszcze opatrzyć ran po czasie pandemii. Inflacja rozpoczęła swe krwawe rządy, napawając przerażeniem zwykłych zjadaczy chleba. Ceny wszystkich produktów wystrzeliły w górę. Rekordowe wzrosty objęły prąd, paliwo i opał. Na szczęście nasi rządzący nie wypadli sroce spod ogona i zaczęli męzną walkę w służbie pomocy rodakom. Tu obniżyli VAT na paliwo, tam ustalili maksymalne ceny prądu. Zostały również uchwalone dodatki do zakupu opału. Wysokość państwowej pomocy uzależniona była od sposobu ogrzewania domu. Naród tłumnie ruszył do urzędów, by złożyć wnioski o zapomogę. To, że jej wysokość nijak się ma do realnego wzrostu kosztu ogrzania gospodarstwa domowego, to inna sprawa. Ważne, że służby narodu chcą choć odrobinę ulżyć umęczonym współobywatelom.

Jak setki innych mieszkańców gminy Cisna, ja również wypełniłem odpowiedni druk i w urzędowym terminie złożyłem go w urzędzie. Jako że czas wypłaty ustawodawca określił na 30 dni (mam piec na pellet), to spokojnie czekałem. Jakiż było moje zdziwienie, kiedy zamiast obiecanych pieniędzy dostałem kopertę z pismem. Pani listonoszka uświadomiła mi, że takie same przesyłki dostało mnóstwo innych osób. Czyżbyśmy wszyscy popełnili błąd w wypełnianiu podania? Z druzgocą ciekawości rozdarłem kopertę i pogrążyłem się

w lekturze. Urząd Gminy Cisna spokojnie poinformował obywateli, że nasze druki zostały wypełnione prawidłowo i w odpowiednim czasie. Terminowo otrzymaliśmy również urzędnicę, którzy szybko rozpatrzyli wnioski i przyznali dofinansowania.

No i teraz dochodzimy do najciekawszego fragmentu. Otóż obiecujące wsparcie członkowie rządu (sam widziałem w TVP premiera ogłaszającego sukces tego projektu) zapomnieli o jednym małym szczegółzie. O PIENIĄDZACH! Tych po prostu gmina nie ma, gdyż miała je otrzymać od wojewody, a przelewu ani widu, ani słychu. Wojewoda miał z kolei le środki dostać od jeszcze wyższej instancji, ale też na razie czeka. W ostatnim akapicie gminny urzędnik z rozbijającą szczerością stwierdza, iż nie wiadomo, w jakim terminie dodatki do opalania zostaną wypłacone, gdyż nikt nie ma pojęcia, kiedy obiecano na ten cel fundusze zasilą gminne konto. Tego, czy w ogóle tu dotrą, też pewnie nikt nie wie. Jak to mówi młodzież, „coś nie pykło” w szalandarowym projekcie najmilej nam panujących. Ale po co wdawać się w szczegóły? Najważniejsze to otrzywać sukces w rządowych mediach. A to, czy coś rzeczywiście działa, jest tylko detałem, którym nie ma co zwracać uwagi widzom. Zdecydowanie ważniejszą informacją są przygotowania do Sylwestra Marzeń czy kolejny benefis Zenka. To na pewno lepiej ogrzeje nasze domy w zimowe wieczory, niż jakiś tam pellet czy gaz.

Degrengolada władz osiągnęła szczyt. Nikt już praktycznie nie wierzy w kolejne projekty rządzących. Nowy Ład (o którym teraz nie wolno przypominać), milion samochodów elektrycznych, mieszkania dla młodych, strzelnica w każdym powiecie, sala gimnastyczna przy szkole i setki innych górnolobnych pomysłów rozbijają się o rzeczywistość tak, jak wypłaty dodatków do ogrzewania. Nikt nam tyle do tej pory nie dał, co obecnie rządzący obiecali. Jak na razie jedynym wiarygodnym pomysłem jest ten ogłoszony przez samego prezesa w Nowym Targu, aby palić w piecach wszystkim, może poza oponami. To naprawdę ma szansę wejść w życie. Można znów ogłaszać sukces.

KALENDARIUM

23/24 listopada 1918

W nocy z soboty na niedzielę rozegrała się w Ustrzykach Dolnych walka żołnierzy Wojska Polskiego z oddziałami Ukraińskiej Armii Halickiej. Dowódcą grupy uderzeniowej w wyprawie na Ustrzyki Dolne był por. Bolesław Czajkowski, dowódca kompanii borysławskiej, która wraz z kompanią sanocką i krośnieńską wchodziła w skład Ochotniczego Batalionu Strzelców Sanockich. Jego zastępcą został ppor. Stanisław Maczek, dowódca kompanii krośnieńskiej, który do akcji zgłosił się na ochotnika. Oddział polski liczył ok. 60 żołnierzy. Ppor. S. Maczka wspierali „borysławiaczy”, poruszając się pociągami pancernymi „Kozak”. To oni zaatakowali ustrzycki dworzec i zdobyli ukraiński pociąg. Natomiast żołnierze z grupy ppor. S. Maczka zaatakowali od strony rynku dwie kamienice, gdzie mieściła się komenda i koszarzy ukraińskie. Po połączeniu się z żołnierzami por. B. Czajkowskiego, osłaniali swój odwrót pociągami pancernymi do Olszanicy (wraz ze zdobytym pociągami ukraińskimi).

11 listopada 1927

Poświęcenie budynku i oddanie do użytku części sal Publicznej Szkoły Powszechnej w Ustrzykach Dolnych (obecny Zespół Szkół Licealnych im. J. Piłsudskiego). Opiekę nad szkołą sprawowała Rada Szkolna Miejsowa, której przewodniczył w tym czasie adwokat Jerzy Apfel. Po jego wyjeździe do Lwowa funkcję tę zaproponowano lekarzowi Romanowi Lenartowiczowi (burmistrz Ustrzyk Dolnych w l. 1920-1939), który będąc wtedy komisarzem rządowym, nie przyjął jej, pozostając jedynie członkiem. Wraz z innymi osobami przyczynił się do wybudowania szkoły. Na początku grudnia 1927 r. wszystkie klasy znalazły się w nowym gmachu.

11 listopada 1982

Kazimierz Kołodziński, nauczyciel chemii w Liceum Ogólnokształcącym w Ustrzykach Dolnych, został zawieszony w czynnościach służbowych przez Józefa Tofilskiego, kuratora oświaty w Krośnie. Pedagogę ukarano za noszenie emblematu rozwiązanej związku „Solidarność”, w którego działalność mocno się zaangażował. Kamie został przeniesiony do pracy w Zbiorczej Szkole Gminnej w Ustrzykach Dolnych. Pracował jeszcze w Szkole Podstawowej w Równi, a w 1987 r. ze względu na stan zdrowia zrezygnował z pracy. W 1989 r., po upadku PRL-u, znowu uczył w Szkole Podstawowej nr 2 i w ustrzyckim LO. Pracę pedagogiczną zakończył 31.08.1993 r.

19 listopada 1986

Podczas uroczystości w ustrzyckim Liceum Ogólnokształcącym oficjalnie pożegnano Stanisława Dula, polonistę, dyrektora szkoły w latach 1956-1987. Był człowiekiem pełnym kultury, humoru, bardzo towarzyskim i zaangażowanym w życie szkoły i swojego środowiska. To za kadencji dyr. S. Dula miały miejsce prace adaptacyjne budynku szkoły, wybudowano pełnowymiarową salę gimnastyczną, boisko asfaltowe, a liceum powiększyło się z 4 do 12 oddziałów sprofilowanych. Zmarł niespodziewanie 10.01.1997 r. i został pochowany na miejscowym cmentarzu.

20 listopada 2002

Otwarto drogowe przejście graniczne Krośnice-Smolnica. Otrzymało status międzynarodowego i przeznaczone zostało dla pojazdów o masie do 3,5 tony. Odprawy miały się odbywać po obu stronach granicy, choć zakończenie budowy przejścia ustalono na czerwiec 2003 r. Wtedy to planowano wspólne odprawy dokonywane przez służby graniczne i celne obu krajów w Krośniku. W otwarciu przejścia wzięli udział m.in.: Zdzisław Siewierski - woj. podkarpacki, Oleksandr Sendeha - wicewojewoda łwowski, i Piotr Korczak - przewodniczący Rady Powiatu Bieszczadzkiego, jeden z inicjatorów powstania kolejowego przejścia granicznego Krośnice-Smolnica w 1994 r. WD

POŁ ZARTEM, POŁ SERIO

Oczywiście, że bardziej opłaca się kupić futro niż dwie tony węgla



KK 2022

RYS. KRZYSZTOF KOWALEWICZ

REKLAMA
w Gazecie Bieszczadzkiej

Tel. 13 461 13 22, ul. 29 Listopada 31,
38-700 Ustrzyki Dolne (parter budynku)